Nr. 20 i 21. Kraków, 1 Listopada 1892 r. Rok II.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . . . . . 1 „ 80 „
miesięcznie . . . . . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy placu Szczepańskim L. 9, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma.— Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie: we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

L. 21854.

Dla P. Józefa Bornszteina odpowiedzialnego redaktora czasopisma „Myśl“ w Krakowie.

C. k. Sąd krajowy jako prasowy na wniosek Prokuratoryi Państwa w myśl § 493 pk. orzekł: że zamieszczony w Nr. 18 i 19 czasopisma „Myśl“ z 1 i 15 października 1892 na str. 169 i 170 artykuł pod tytułem „Cholera azyatycka w Krakowie“ zawiera w całej swej osnowie znamiona występku z § 300 uk., że przeto dalsze rozszerzanie takowego wzbronionem zostaje, — zarządzona konfiskata tych numerów czasopisma zostaje zatwierdzoną a zabrane egzemplarze mają być zniszczone,

albowiem

w tymże artykule autor w sposób szyderczy, pobudzający do wzgardy przeciw władzom rządowym, poniża tychże działalność.

Z c. k. Sądu krajowego karnego

Kraków 27 października 1892.

(podp.) *Brason.*

Redakcya i administracya „Myśli“ przeniesione zostały z dniem I bm. do nowego lokalu: Plac Szczepański L. 9. I-sze piętro.

Od Wydawnictwa.

Dwa ostatnie numera naszego pisma uległy konfiskacie c. k. Prokuratoryi Państwa, z powodu zamieszczonych w nich uwag o przebiegu cholery w Krakowie.

Wydajemy obecnie numer zwiększony i przepraszamy zarazem Sz. Czytelników za niezależne od redakcyi spóźnienie numeru.

Tym Prenumeratorom, którzy dotąd za IV kwartał nie zapłacili, wstrzymamy wysyłkę „Myśli“ od 15 b. m.

Z CHWILI.

(Kronika społeczno-polityczna).

(Kupczenie żywym towarem. — Zbrojenie się Niemiec. — Bezrobocie w Carmaux i wyrok p. Loubeta. — Z Węgier).

Lwów ma, jakby tu powiedzieć... szczęście do sensacyjnych rozpraw sądowych. Zaledwie ucichła wrzawa, wywołana procesem o śmiertelny pojedynek a już przed kratkami tamtejszego sądu rozgrała się tragedya, której bohaterami (smutne bohaterstwo!) byli żydzi, oskarżeni o wywóz dziewcząt do Carogrodu w celach niegodnych, świadkowie zaś rekrutowali się przeważnie z nieszczęśliwych uwiedzionych ofiar. Proces ten odsłonił przed oczyma słuchaczy i trybunału tyle niegodziwości — niemal okrucieństwa, tyle wyzysku, cynizmu i wstrętnych brudów wśród oskarżonych i tyle nędzy, niedoli oraz cierpień wśród ofiar, że doprawdy lęk zbiera o przyszłość społeczeństwa, wśród którego mogą się dziać rzeczy tej podobne. A działo się to przecież w kraju, który ma pozory cywilizacyi, i multum instytucyj humanitarnych. W Galicyi uwijają się setki czarnych kreatur, które upolowawszy ofiarę — jakąś młodą, ładną dziewczynę — porywają ją namową lub słodkiemi obietnicami, by spieniężywszy ją na wschodzie, kiesę swą wyładować kosztem — czasem życia — nieszczęsnej. Rzecz tym straszniejsza, że zbrodniarze ci działają w przekonaniu, że przeciw prawu nie wykraczają wcale.

„Jeden handluje owocem, szkłem drugi, ja handlowałem dziewczętami“ odezwał się przy rozprawie jeden z oskarżonych. Trudno chyba o większy zanik moralności, graniczący ze zwierzęcością. Sąd po szczegółowej rozprawie skazał winnych na więzienie mniej lub więcej ciężkie.

* * *

Szczyt doskonałości, do jakiej doprowadziła Francya swoją armią tak jakościowo jak ilościowo, kłuła w oczy groźnego sąsiada z nad Renu: Niemcy. I one więc, chcąc potęgę militarną dzierżyć niepodzielnie, przystępują do przeprowadzenia szerokiego planu reformy wojskowej. Mianowicie kanclerz Caprivi przedkłada parlamentowi nową ustawę wojskową o dwuletnim czasie czynnej służby, przez co podniesie się stopa armii, dalej projekt zmiany w ustroju pieszej i polnej artyleryi oraz w sposobie wyćwiczenia żołnierzy. Projekt ten już dzisiaj wywołał głosy niechęci w szerokich kołach Niemiec a powodem tego koszta... bagatelne... 57.000.000 marek na ten rok, po 65.000.000 marek na następne, oprócz wydatków jednorazowych od wszelkich reorganizacyj nieodłącznych. Obrachowano, że projekt ten pozwala mieć Niemcom po 24 latach o pół miliona więcej żołnierzy od Francyi a niewiele tylko mniej od Rosyi. W końcu zaznaczyć wypada, że Bismark jak zawsze, i tym razem krytykuje to, co nie od niego wyszło i nie jego jest dziełem.

* * *

Nareszcie skończyło się głośne bezrobocie w Carmaux, we Francyi. Calvignac, mer-robotnik, przyjęty został ponownie do pracy, robotników agitatorów skazanych sądownie, również ułaskawiono — słowem sprawa głośna, bo stać się mogła przyczyną upadku p. Loubeta, weszła na drogę pokojową, dzięki p. Viette ministrowi robót publicznych, który swem taktownem postępowaniem stał się niejako rzecznikiem robotników i panu Clemenceau, radykalnemu deputowanemu, który użył całego swego wpływu by rozżalonych górników do pracy nakłonić. Wyrok prezesa gabinetu p. Loubeta, który stanowił sąd polubowny między robotnikami a pracodawcami nie został przyjęty jako niesprawiedliwy, i niekategorycznie rzecz rozstrzygający.

* * *

Przed dwoma niespełna tygodniami rozbrzmiewały na Węgrzech echa głośnej sprawy, która omal nieprzyczyniła się (co stać jeszcze może) do upadku całego gabinetu węgierskiego. Bo przyznać trzeba, że wysoce niefortunnym był projekt aby przy sposobności wieńczenia pomnika poległych w 1848 r. Honwedów, uczcić także w Peszcie stojący monument Hentzkiego, dowódcy wiernych wojsk, który w tym pamiętnym roku dzielnie bronił miasta przeciw powstańcom. Projekt, jak z góry można było przewidzieć, wywołał w patryotycznych kołach Węgier przeciwdziałanie — sprawa wytoczoną została przed forum parlamentu, a tam już deputowani-patryoci z hr. Apponyi na czele postarali się aby projekt upadł.

Jednocześnie wre w kraju korony św. Szczepana walka rządowo-kościelna. Sprawa chrztów dzieci z małżeństw mieszanych, wprowadzenia ślubów cywilnych acz jeszcze nie rozstrzygnęła się stanowczo po myśli projektodawców, to jednak bliskiem już jest zwycięstwo rządu w tej sprawie.

Z. P.

URYWEK.

...Nie ludziom ja się skarżę — tylko Tobie Boże
I gwiazd cichej gromadzie, co przy Twoim tronie
Iskrzą się złote. — W niebios bezdenne przestworze
Ciskam jęki dławione długo w drżącym łonie
I tym zorom się skarżę, co w wieczornej porze
Rumieńcem kraszą nieba lazurowe tonie,
Bademu księżycowi skarżę się gdy wschodzi
I przez chmur sinych fale w srebrnej płynie łodzi.

Żalę się kwiatom leśnym, których skroń pachnąca
Pod dyademem z pereł rosy rannej gnie się:

Może łza moja w jeden z tych kwiatów tysiąca
Wpadnie — Anioł, co chodzi po łąkach i lesie
W różowych blaskach wschodu, i na skrzydła strąca
Rosę z kwietnych kielichów — łzę moję poniesie
Białemi pióry w niebo i aż przed tron Boży
Na błękitach łzę moję wpośród gwiazd położy.

Niech ta łza za mnie mówi, bo ja nie mam siły;
Zmęczonym jest i spokój pragnę mieć i ciszę
Taką jak mają wody wielkie i mogiły —
Niech wrzawy ludzkiej, ludzkich złorzeczeń nie słyszę
— Chcę lasów, coby pacierz wieczorny mówiły
Kiedy je o zachodzie złotym wiatr kołysze
Pragnę kawałka nieba, które by w noc ciemną
Roziskrzone gwiazdami wisiało nademną.

Trzeba mi jakiej cichej tatrzańskiej doliny
Gdzieby szumiały tylko spienione strumienie,
Gdzieby na głazów zręby księżyc wschodził siny
I rozkładał po trawach śpiących smreków cienie
Gdzieby mleczny puch śniegów srebrzył skał szczeliny
I wiatr na lotnych skrzydłach niósł żywiczne tchnienie
Tambym chciał pierś przytulić do piersi granitów
I jak one, bez pragnień być — i bez przesytów...

Lucyan Rydel.

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE.

†

Ks. Biskup Paweł Rzewuski.

Świeżo otwarła się mogiła dla przyjęcia zwłok dostojnika kościoła, męczennika za wiarę i Ojczyznę. Z ks. biskupem Rzewuskim schodzi do grobu jedna z najczcigodniejszych postaci porozbiorowej Polski, zamiera duch — tytan.

Ks. Paweł Rzewuski urodził się 14 stycznia 1804 roku. Po ukończeniu kursów filozofii i teologii odebrał w roku 1827 święcenia kapłańskie i wstąpił do seminarjum głównego. W następnym roku został wikarjuszem parafii św. Aleksandra, a po roku pełnienia tych obowiązków otrzymał nominację na wiceregensa seminarjum głównego.

Jednym z jego profesorów, a następnie kolegów w zawodzie nauczycielskim, był słynny w swoim czasie matematyk ks. Rafał Skolimowski. Człowiek ten nadzwyczaj zdolny, bodaj czy nie genialny, osiadłszy po otrzymaniu emerytury przy kościele ks. Misjonarzy, wszystko co miał rozdawał ubogim, wspierał sieroty i chorych. Przez pewien czas podobno niedowiarek, zwrócił się w późniejszych latach ku Bogu i zadawał sobie takie ostre pokuty, że współcześni życie jego porównywali z życiem pustelników i świętych pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Rzewuski przylgnął do tego człowieka i może od niego nauczył się tej pokory, tej obojętności na zaszczyty i dostojeństwa, tej wreszcie skromności i prostoty w życiu, jaką się odznaczał. Może być, że na zawarcie bliższych stosunków ze Skolimowskim wpłynęły ich jakieś stosunki rodzinne lub sąsiedzkie, bo obu im ziemia podlaska była wspólną Macierzą.

Podczas powstania 1831 roku widzimy Rzewuskiego zajętego w lazaretach warszawskich, gdzie rannym dodawał otuchy, a konających do śmierci chrześcijańskiej gotował.

W roku 1833 został Rzewuski profesorem obrzędów kościelnych w Seminarjum głównem, a w roku 1837 otrzymał nominację na nauczyciela religii.

Przez lat 20 nie posuwał się dalej, oddany li tylko swoim skromnym obowiązkom; pozostały czas od nich poświęcał pracom religijno-literackim. Napisał wiele mów, tłómaczył dzieła religijne z francuskiego, włoskiego, niemieckiego i greckiego, wydawał książki moralne dla dzieci, życiorysy świętych, homilje i t. d., a liczba tych prac w bibljografji i notatkach Estreichera do kilkudziesięciu dochodzi.

Obowiązki nauczycielskie pełnił do stycznia 1856 roku, a niedługo potem opuścił wikarjat św. Aleksandra, kiedy arcybiskup Fijałkowski powołał go na katedrę Pisma świętego w warszawskiej rzymsko-katolickiej Akademii duchownej. W kilka miesięcy później otrzymał godność kanonika katedralnego.

Księdzu Rzewuskiemu los nie odmówił niczego, co u ludzi zjednywa cześć i uwielbienie. Od lat najmłodszych był kochany dla swej prawości i cnót wielkich, otaczany przywiązaniem kolegów i uczniów, szanowany dla pracy i nauki. Cała Warszawa znała i kochała siwowłosego staruszka, na którego twarzy malowała się niezwykła dobroć i słodycz. Brakowało mu tylko jednej rzeczy, która człowieka podnosi na najwyższy szczebel w czci u współczesnych i potomnych, — brakowało mu aureoli męczeńskiej, niebiańskiem światłem opromieniającej głowy wybranych. Lecz los pod tym względem okazał się dla niego hojnym: dwadzieścia trzy lat spędzonych na wygnaniu na granicach Azji, w Astrachaniu, otoczonem koczującemi hordami kirgizów, wśród mongolskiej dziczy i na wpół ucywilizowanych jej zdobywców, — były aż nadto dostateczne, aby do wieńca zasług ks. Rzewuskiego wpleść gałązkę cierniową męczeństwa.

Po śmierci arcyb. Fijałkowskiego nastały dni straszne. Sprofanowano kościoły, kapłanów oderwano od ołtarza. Administrator dyecezji warszawskiej ks. Białobrzeski za zawieszenie nabożeństw i zamknięcie kościołów skazany został na karę śmierci i ułaskawiony na dożywotnie więzienie. Kapituła nie chciała na jego miejsce wybrać administratora, a Rzewuski miał odwagę powiedzieć namiestnikowi ks. Gorczakowi, że rząd jest w tej sprawie jedynym winowajcą.

Nastąpiły czasy rządów ks. arcybiskupa Felińskiego kościołem polskim w Królestwie.

Pierwsze chwile nowego arcybiskupa nie były zasłane różami, bo spotkał nieufność dla siebie nawet wśród duchowieństwa. Ksiądz Paweł był jednym z pierwszych, co odczuł całą piękność jego duszy. I nic w tem dziwnego. Feliński był widocznie o nim najlepiej uprzedzony, bo powitawszy duchowieństwo, wezwał Rzewuskiego na osobną rozmowę. Na tej audyencji arcypasterz rzucił mu się na szyję, zwierzył się ze swoich uczuć i zamiarów, prosił go, aby przyjął obowiązki oficjała.

Pominiemy tutaj znane okoliczności, które towarzyszyły wygnaniu arcyb. Felińskiego. Nastąpił on dnia 14 czerwca 1863 roku. Po trzytygodniowym pobycie w Gatczynie, w którym to czasie usiłowano bezowocnie nakłonić ks. Feilńskiego, aby ze swego stanowiska pasterskiego potępił powstanie, przeznaczono arcybiskupowi warszawskiemu na miejsce pobytu Jarosław. Dostojny wygnaniec natychmiast uwiadomił o swoim losie ks Rzewuskiego. Wówczas ks. Rzewuski nie zważając na to, jakie go prześladowania czekać mogą, wydał okólnik nakazujący powszechną żałobę. W okólniku tym polecał aby na znak smutku i żałoby we wszystkich kościołach umilkły dzwony, organy, muzyka i śpiew. »Nadto, — są słowa okólnika, — czytamy »w dziejach apostolskich (Roz. 12. 5), że kie»dy Piotr św. został wtrącony przez Heroda »do więzienia, chrześcijanie ówcześni ciągle »zasyłali za nim swoje modły do Boga:

KLĘSKA

(La débâcle).

POWIEŚĆ

przez

15) EMILA ZOLĘ.

Podczas tej kampanii, jeżeli nieraz chłopi chowali wszystko co mieli i odmawiali żołnierzom szklanki wody, to robili to w tym strachu przed nawałem ludzi i ich potrzeb, przed tą falą, oporu nie znoszącą, która ich wyrzucała na ulicę i domy ich całe zabierała.

— Daj mi pokój!.. mój poczciwcze!.. — odpowiedział generał niechętnie — cóż ja zrobię!.. Musiałbym kazać rozstrzelać dziesięciu na dzień tych łotrów... Czyż to możliwe!?..

Kazał mu iść precz i drzwi za sobą zamknąć, nie chcąc widzieć nadużyć i być zmuszonym do karania. Pułkownik tymczasem tłomaczył mu, że nie było żywności do rozdania i że ludzie są głodni.

Wtem Loubet dostrzegł pole, na którem rosły kartofle i rzucił się na nie wraz z Lapoullem, grzebiąc obydwiema rękami, wyrywając z ziemi krzaki całe i pakując sobie we wszystkie kieszenie. Chouteau tymczasem wdrapał się na mur i zaglądał chciwie na podwórze. Dostrzegł on tam widać coś, bo gwizdnął na nich, wołając pomocy. Było to stado gęsi, jakiś dziesiątek gęsi wspaniałych, majestatycznie się po podwórku przechadzających. Złożyli radę i namówili Lapoulla, który się zdecydował przeleźć przez ogrodzenie.

Walka była straszna. Gęś, którą złapał, mało mu nosa nie ucięła ostremi nożycami swego dzioba. Chwycił ją więc za długą szyję i chciał udusić, a ona mu brzuch i ręce swemi grubemi pazurami tymczasem orała. W końcu palnął ją pięścią w łeb i jeszcze się rzucała, a przytem reszta stada w obronie towarzyszki po nogach go szczypała. Nareszcie udało mu się przeleźć przez mur napowrót.

Gdy wreszcie wszystko czworo, licząc w to i gęś, w worku przyniesioną razem z kartoflami, wrócili do Maurycego, zastali tu już Jana i Pacha, którzy również pomyślny z wyprawy swej odnieśli rezultat. Przynieśli oni cztery bochenki chleba świeżego i ser. Kupili to wszystko od jakiejś poczciwej starej babiny.

— Woda się gotuje, narobimy kawy!... rzekł kapral. — Mamy chleb i ser, będzie uczta co się zowie.

Wtem nagle spostrzegł gęś, którą mu pod nogi wyrzucili z worka i nie mógł się wstrzymać od śmiechu. Pomacał ją i, jako znawca, z zachwytem wykrzyknął:

— Pyszny ptak!.. słowo daję?.. Waży z jakie dwadzieścia funtów.

— To jest, panie kapral, ptak, któregośmy mieli szczęście spotkać po drodze — odparł Loubet łobuzowskim swoim głosem — i który zapragnął poznać się z nami.

Jan gestem ręki dał poznać, że niema wcale ochoty dowiadywać się bliższych szczegółów tego spotkania. Trzeba przecież żyć. A przytem, mój Boże!.. dlaczegoż ci biedacy, którzy od tak dawna świadomość o smaku drobiu utracili, nie mają sobie raz użyć!?..

Już Loubet rozpalił ognisko. Pache i Lapoulle skubali gęś z gwałtownym pośpiechem. Chouteau pobiegł do artylerzystów po kawałek sznurka i zawiesił ją na dwóch bagnetach ponad ogniem buchającym. Maurycemu polecono obracać ją od czasu do czasu. Pod spodem ustawiono miskę, w którą ociekał grubemi kroplami tłuszcz gęsi. Był to istotny tryumf systemu pieczenia na sznurku. Cały pułk, zwabiony rozchodzącą się wonią, przyszedł się przypatrywać temu widokowi. I co za uczta wspaniała!.. Gęś pieczona, kartofle gotowane, chleb, ser!.. Gdy Jan poćwiartował

»Quando Petrus servabatur in carcere oratio »flebat sine in termissione ab Ecclesia ad »Deum pro eo« i że Bóg przez wzgląd na »ich modły gorące, posłał do więzienia anio- »ła, który, kiedy św. św. Piotra uderzył w bok »mówiąc »wstań,« coprędzej kajdany z niego »opadły. Otóż, pomnąc na skuteczność chrze- »ścijańskiej modlitwy, wzywam całe Szano- »wne Duchowieństwo, aby upominało lud »wierny do wystrzegania się wszelkich grze- »chów, do wykonania wszelkiego rodzaju do- »brych uczynków, a osobliwie do zasyłania »ciągle za swym pasterzem gorących modlitw »do Pana Zastępów, w którego rękach są »wszystkie serca władców ziemi.«

Ks. Rzewuski został prekonizowany na biskupa sufragana warszawskiego, z tytułem biskupa prusseńskiego in part. inf. dnia 16 marca 1863 roku. Potrzeba było jeszcze czekać na potwierdzenie ze strony cara, które też nastąpiło w Carskiem Siole, w dniu 2 czerwca. Nominacja Rzewuskiego ogłoszoną została w urzędowym Dzienniku powszechnym z dnia 11 czerwca 1863 r., jednocześnie z nominacjami ks. Wincentego Popiela na biskupa płockiego, ks. Konstantego Łubieńskiego na biskupa augustowskiego i ks. Jana Kalińskiego, biskupa bełzkiego na koadjutora biskupa chełmskiego unickiego. Cześć Jego pamięci!

†

Stefan Buszczyński.

W czasach małodusznych — jak dzisiejsze — i na wskróś przesiąkniętych wygórowanym materyalizmem, w czasach, kłamiących ogólno-ludzki i cywilizacyjny postęp, a hołdujących szalonej, powszechnej gonitwie za mniej wzniosłemi ideałami pieniędzy i chleba, — długoletnia praca wytrwała, nieschodząca na krok od jednego stale wytkniętego kierunku, służba wierna, na chwilę nieopuszczająca sztandaru podniesionego przed laty, podziw budzi nie mały.

Iluż bo naliczym dziś ludzi, umiejących, pomimo klęsk wszelakich, dochować wierności, ślubowanej ideałom natchnionej młodości? Jak rzadko spotkać dziś tych bojowników o sprawiedliwość i prawo narodów i ludzi, szermierzy, w których gasnącem już oku przebijała jeszcze energia potężna, pełna zapału, a siwizna szronem swym nie zdołała wyziębić serca, bijącego jak dawniej gorąco dla wszystkiego, co wzniosłe i szczytne.

Inne czasy nastały, a z niemi zmieniły się i pojęcia. Zasługą dziś zowiemy to, co się dawniej zwało prostem spełnieniem obowiązków. A gdy zejdzie ze świata jednostka spełniająca obowiązki swe uczciwie, sumiennie, gorliwie i wytrwale, społeczeństwo ciężką, dotkliwszą stratę ponosi, niż kiedykolwiek indziej. Śmierć każdego z nich, to upadek jednej z kolumn, podpierających skutecznie gmach narodów-

Taką stratę dziś zapisujemy.

Ze zgonem Stefana Buszczyńskiego ustąpiła na zawsze z widowni życia naszego jedna z najwybitniejszych i najbardziej charakterystycznych postaci ostatnich lat dziesiątek. Mąż niezaprzeczenie głębokiej wiedzy i niezwykłej bystrości umysłu, jako historyk, statystyk i filozof wsławił się przed laty jeszcze zagranicą i pozyskał uznanie świata cywilizowanego.

Kraj sam, Ojczyzna, rodacy znali Buszczyńskiego dzieła o wiele mniej, niśli cudzoziemcy. A jednak oddał on krajowi usługi niemałe. Ostatni może przedstawiciel t. zw. szlacheckiej demokracyi w Polsce, złożył Ojczyżnie w ofierze cały zasób bogatych swych sił i zdolności umysłowej. Głównem jego zadaniem było plewić i wyrywać chwasty szkodliwe dla narodu, a zadanie to spełniał, podług swego rozumienia, gorliwie, namiętnie, wytrwale, choć i gwałtownie nieraz. Przeciwnicy Buszczyńskiego, a do nich w pierwszym rzędzie liczy się cała t. zw. historyczna szkoła krakowska, odpowiadali mu konsekwentnie milczeniem, — nie wiadomo tylko, czy ono pochodziło z chybiającej w tym wypadku pogardy, czyli raczej z niemożności odpierania zarzutów, wypowiadanych z całą mocą przekonania, a opartych na niezbitych faktach. Zwolennicy dzieł Buszczyńskiego i wielbiciele zasad jego w kraju — a miał ich i mieć będzie niemało — w ostatnich czasach dopiero zamierzali oddać publiczny hołd jego niezmordowanej pracy i rzetelnej zasłudze.

Najlepiej i najwcześniej oceniła działalność jego Ameryka. Bracia nasi na drugiej półkuli osiadli snać przejęli się już prawdziwą wolnością obywatelską, snać rozumieją dobrze znaczenie jej, a z drugiej strony nie zatracili ani krzty uniesionej z kraju w sercach swoich miłości Ojczyzny, skoro taką czcią, taką aureolą — rzec można — nie od dziś otaczali zawsze osiwiałego w boju o wolność i szczęście narodów szermierza, wtenczas, kiedy anemiczne społeczeństwo polskie, żyjące w kraju, prawie, że znieść nie mogło gorzkiej nieraz prawdy, przebijającej się ze wszystkich prac Buszczyńskiego.

Sąd o nim sprawiedliwy wyda kiedyś historya. To pewna, że najzawziętszy przeciwnik, jeśli się nie da porwać zawistnej stronniczości, uzna w Stefanie Buszczyńskim niezłomny charakter, gorącą miłość Ojczyzny, wytrwałą, niezmordowaną pracę dla jej wolności i szczęścia! A to już zasługa nie mała!

E. A.

SPOTKANIE.

SZKIC.

Zerwanie stosunków między mną i moimi braćmi — opowiadał Jan przyjacielowi, — a ciotką i jej dziewczętami, przeznaczonem było z dawien dawna.

Pochodziło to jeszcze z czasów, kiedy żył mój ojciec, poczciwy człowiek ale despota, który starając się być w jednej osobie i ojcem i bratem bez zarzutu, a nie umiejąc z tej kolizyi uczuć, za któremi postępowały czyny, wybrnąć dość zręcznie, — zepsuł i powaśnił dwie rodziny, szczepiąc jad zawiści pokrzywdzonych praw z jednej strony, a z drugiej owo wcale nie uszlachetniające poczucie korzyści, zdobywanych dzięki jego dobremu sercu kosztem nas, do których wyłącznie a conajmniej przeważnie to serce należało.

Ojciec już dawno nie żył, myśmy już dawno zapomnieli, o ile mniej był naszym ojcem, niżeli być nim, w naszych oczach, był powinien, wraz z jego życiem zakończyło się wszystko to, co dawało powód do cichej, skrytej, nie wypowiadanej i nie okazywanej niczem nienawiści dwóch grup ludzi: jego rodziny własnej i rodziny jego siostry, — a przecież ta nienawiść, sam raczej jej zawiązek, tłumiony na dnie duszy, lecz nigdy nie dający się z niej wyplenić doszczętnie, ta nienawiść trwała, żyła w nas, uśpiona i zapomniana, budząc się i objawiając przy każdem spotkaniu dwóch rodzin, myślami już tylko.

Ani my, chłopcy, dorastający z biegiem czasu, ani one zapewne, te cztery małe, biegające, krzykliwe, o byle co skłonne do płaczu dziewczątka, z których rozwinąć się już musiały duże panny, nie mogliśmy zapomnieć

---

ptaka, pluton objadł się wyżej uszów. Nie było porcyi, każdy pakował ile się w niego zmieściło, a nawet zaniesiono kawałek artylerzyście, co sznurka dostarczył.

Zdarzyło się, że tego dnia oficerowie pułku pościli. Przez jakiś błąd w poleceniach furgon kantyny pułkowej gdzieś się zapodział. Zapewne poszedł za wszystkiemi wozami. A jeżeli żołnierze cierpieli, gdy rozdawać nic nie było można, to sobie zawsze przecież coś do położenia na ząb znaleźć umieli... Pomagali sobie zresztą wzajem, ludzie jednego plutonu składali do wspólnego użytku osobiste swoje środki i zapasy, gdy tymczasem każdy oficer, pozostawiony sam sobie, marł głód bez możliwości obrony za każdym razem, gdy kantyny zbrakło, albo gdy w kantynie zapas żywności się wyczerpał.

To też Chouteau, który słyszał, jak kapitan Beaudoin klął z wściekłością owo zniknięcie furgonu kantyny, śmiał się złośliwie, sam kadłub gęsi wylizując i pokazywał kolegom przechodzącego właśnie dowódcę kompanii, który szedł z miną dumną i głową podniesioną i na nich nawet nie spojrzał, chociaż mu ślinka do ust leciała.

— Patrzajcieno na niego!.. jak mu się nozdrza wydymają!.. A co!.. smaczna gąska!.. Założę się, że dałby pięć franków za kuperek!..

Wszyscy się wyśmiewali z głodu kapitana, który nie umiał sobie zyskać miłości swoich ludzi, zbyt młody i zbyt surowy „prztyk“, jak go nazywali. Przez chwilę zdawało się, że ma zamiar zgromić pluton za skandal, jaki swoją gęsią zrobił. Ale obawa pokazania, że się jemu samemu jeść chce porządnie, sprawiła, że, nie odezwawszy się ani jednem słowem, odszedł z nosem zadartym, jak gdyby nic nie widział.

Natomiast porucznik Rochas, którego również głód gnębił okrutnie, kręcił się wesoło około szczęśliwego plutonu i śmiał się jak człowiek dobry i poczciwy cieszy się radością drugich. Jego ludzie ubóstwiali go, naprzód dlatego, że nienawidzili kapitana eleguncika, który wyszedł ze szkoły Saint Cyr, a powtóre dlatego, że i on kiedyś nosił karabin tak samo, jak oni wszyscy.

Nie zawsze co prawda bywał on przyjemnym, a często nawet łak gburowatym, że aż ręka świerzbiała.

Jan, spojrzeniem poradziwszy się z kolegami, podniósł się i również skinieniem tylko poprosił porucznika ze sobą po za namiot.

— Przepraszam pana, panie poruczniku, niech się pan porucznik nie obrazi... ale... gdyby pan porucznik miał ochotę...

I podał mu kawał chleba i miskę żołnierską, w której było udko gęsi na sześciu dużych kartoflach położone.

I tej nocy także nie trzeba było ich do snu kołysać. W sześciu trawili zjedzonego ptaka, śpiąc jak zabici i mieli sposobność podziękować kapralowi za solidne ustawienie namiotu, gdyż rano, nie wiedzieli nawet, że gwałtowny wiatr się zerwał około godziny drugiej w nocy i deszcz lunął jak z cebra. Wiele namiotów wiatr ów zerwał, żołnierze pobudzili się nagle i przemoczeni do nitki gonić musieli w ciemnościach swoje domy przenośne, gdy tymczasem ich dom oparł się wszystkiemu i ani jedna kropla wody do nich się nie dostała, dzięki małym rowkom dokoła namiotu, któremi woda z deszczu odpływała.

Gdy świtać zaczęło Maurycy obudził się, a ponieważ wymarsz był naznaczony na godzinę ósmą dopiero, ochota go wzięła iść kawałek w górę na tymże samym pagórku do obozu rezerwy artyleryi, żeby się zobaczyć z kuzynem Honorym. Noga, wypoczęta po całonocnym śnie, nie bolała go prawie wcale. I tu znowu był dla niego powodem zdziwienia i zachwytu ten park; tak wybornie ustawiony, te sześć armat bateryi tak doskonale pod linię wyprowadzone i za niemi to, co do każdej należy, wóz z nabojami, przedłużnice,

odniesionego w dzieciństwie wrażenia nieokreślonej walki, stoczonej dawno w niewypowiedzianych myślach, w przemilczanych uczuciach, w sercach drżących z tajemnego oburzenia po za rzeczywistością, napozór nie zmąconą niczem, po za niby spokojnym, niby dobrowolnym, chętnym, nawet serdecznym podziałem wszystkiego, co stanowi życie: naszego domu, naszych sług, naszej spiżarni, garderoby, zabawek, książek, czasu mojego ojca i jego pieniędzy, uśmiechów jego, pieszczot, jego trosk, — z czego część tak dużą zabierały nam one i ich matka.

Nie zastanawiam się nad tem, kto tu zawinił: czy my byliśmy zbyt samolubni, że nie dzieliliśmy naszych naturalnych przywilejów dość chętnie, — czy one, a raczej ich matka, nadto była łakomą i niedelikatną, korzystając z uczynności mego ojca, brata swego, lub lub nawet pobudzając ją może, tak pohopnie. Dosyć, że nam się w tej drugoplanowej akcyi życia serca popsuły... czy im także?... — i ze popsuły się na długo wzajemne stosunki, skały rodzinne uczucia tak, że po śmierci mego ojca prysła odrazu, siłą koniecznosci wytkniętej przez położenie, siłą wybuchu długo krępowanych niechęci, wszelka łączność pomiędzy nami a domem ciotki.

— Nie macie tu już nikogo, odkąd on umarł — myśleliśmy, wykreślając te cztery małe, krzywdzone tajemnie, lekceważone jak żebraczki, jak istoty będące na łasce, przymusowe towarzyszki zabaw dziecinnych i ich matkę, — a one też nie szukały więcej w domu naszym serca, gdy tego jednego, jakie w niem do uiedawna miały, nie było juz teraz.

I przez lat kilka aniśmy wiedzieli, ani troszczyli się o to, co sie dzieje z ciocią Franią, z Zosią, zawsze zamyśloną i trochę leniwą, z Helą, skłonną do mazgajenia się, ale tak dobrą i pracowitą, nakoniec z niedobraną parą najmłodszych, bliźniąt: Władką, w której złość zawsze się kryła jak żar w płomyku i z jej przeciwstawieniem, Ludwisią, taką spokojną i flegmatyczną, jakby jej tamta już w łonie matki zabrała wszelkie do gniewu i żywości uzdolnienie.

Czasem tylko mnie — zapewne i moim braciom — zamajaczyły w myśli te cztery maleństwa w spódniczkach, uwijające się za każdym przyjazdem na wakacye po naszym domu i ogrodzie, któro otaczaliśmy kłamliwą galanteryą wobec starszych, a tyranizowali na uboczu, które musiały być zawsze końmi w zabawie w konie, szeregowcami podczas musztry, uczniami, prowadzonymi krótko w grze w szkołę, — których cienkie głosiki raz po raz wykrzykiwały płaczliwie na mnie lub moich braci:

— No! Józek! Tadziu!... bo powiem mamie... bo pójdę do wujcia!... To boli!...

Moje biedne siostrzyczki! Cóż one były winne temu, że miały takich złych, takich łobuzów braci, za głupich jeszcze, co prawda wtedy, aby byli zdolni tak czynić, jak im to dopiero znacznie później serce wskazywać zaczęło.

A krótkie te, mgliste, niepokojące trochę sumienie moje, reminiscencye zerwanych węzłów kończyły się zawsze pytaniem: »co się z niemi dzieje?...« — pytaniem, które ulatywało z duszy po krótkiem, zarazem miłem i trochę przykrem wzruszeniu z duszy bez śladu, odzywając się coraz słabiej i ciszej, bliskie zamilknięcia na zawsze...

Naraz, po latach dziesięciu, kiedy już miałem wąsy, pensyę, małą historyę po za sobą i jakie takie stanowisko, przypadek, który sprowadza zderzenia pociągów, rzucił mnie pewnego wieczora w restauracyi kolejowej na krzesło, do którego twarzą na innem siedziała jakaś stara baba, z pomarszczoną twarzą, zmiętemi sukniami, włosami czesanemi jakby przedwczoraj, w kapeluszu osuniętym w tył, z każdą częścia ubrania krzywo wdzianą, jednem słowem — moja ciotka, ciocia Frania!... Poznałbym ją na księżycu po tej fizyonomii rozpaczliwie zbolałej, jak mina Magdaleny pod krzyżem, w jednakim stopniu zawsze wyrażającej zmartwienie, zarówno wtenczas, kiedy się skarżyła na kolkę w boku, kiedy opłakiwała zgubioną podwiązkę, oskarżała złość ludzką lub westchnieniami starała się zapewnić przyszłość swoim dziewczętom.

Czyby mi było na myśl przyszło, zobaczywszy ją, drapnąć, nie wiem, bo nim mogłem pomyśleć cokolwiek, ujrzałem przy niej młodą, prześliczną szatynkę, z czarnemi oczyma, z cerą smagłą, z delikatnie zarysowanym noskiem i brwiami, w skromnej sukience, noszącej ślady podróży, z parasolką w ręku i walizką u nóg — i poznałem Helę, najładniejszą, najmilszą z moich kuzynek, zbitą raz niegdyś przezemnie tak haniebnie za to, że mi się nie dała namówić do ukradzenia przekupce, drzemiącej w głębi kramu, wisien, które ja sam zjeść miałem. Wypadek ten przypomina mi, że kiedyś z pewnością znajdę się w piekle. Jeżeli nie za co innego, — to za to.

Poznałem je natychmiast, poznany przez nie nawzajem, i wlepiwszy w nie spojrzenie dawnej, zupełnej zażyłości osób bliskich, które się na wskróś znają, a po którem odrazu nawiązanych węzłów najpoufniejsze zwierzenie już bardziej nie zacieśnia, powstałem pierwszy, wyciągając do nich ręce:

— Czy mnie panie poznajecie?

— Mamo, ależ to Józio! — odrzekł radośnie głos dziewczyny, w którym poznałem niezapomniany, pełen słodyczy i miękkości głos Heli.

Na twarzy ciotki ukazało się całe niebo uśmiechów, ale niebo pogody niepewnej, grożące deszczem łzawego rozczulenia. Heli zaś buziak rozpromienił się takim prześlicznym, ujmującym wyrazem zdziwienia, radości i przyjaźni, że w tejże samej chwili — w tej samiuteńkiej, — jak egoista skończony pomyślałem w duchu:

— Boże! dlaczegóż kazałeś mi być bratem tego skarbu?!

Ucałowałem rękę ciotki tak gorąco, aż się zaczerwieniła ze wzruszenia, nie mając jeszcze czasu zoryentować się, że moja serdeczność jest dziełem jej córki, a potem podałem rękę Heli, nie śmiejąc, nie czując się w prawie ucałować ją w oba policzki z całego serca, po bratersku, właśnie może dlatego, że tak bardzo, tak nieskończenie tego pragnąłem owej chwili, bez względu na tylu ludzi dokoła, na atmosferę knajpy, bez względu na to, że w tym przybytku konwencyonalnych przywitań i pożegnań tyle się tuzinkowych pocałunków zamienia: że brat i siostra wydają się tu niejednemu kimś wcale innym, a kogo zaś innego za czułe biorą małżeństwo. Ująłem tylko jej małą rączkę i długo, mocno, serdecznie ją uścisnąłem.

(Dok. nast.)

Z. Niedźwiecki.

H. W. RIEHL.

Nowela i Sonata.

(Ciąg dalszy).

Ze śmiercią Beethovena pisanie sonat ustaje. Wogóle rozwija się wówczas despotyzm sonaty, który do dwudziestych lat naszego wieku dotrwał. Starsi romantycy muzyczni zrzucają więzy surowej formy sonaty, — romantycy poezyi, pod skrzydłem nowelistyki, szukają ratunku. Już w sonatach

---

kuźnie i furaże. Dalej konie pod sznur, które wyciągały nozdrza i rżały radośnie ku wschodzącemu słońcu. Bardzo prędko odnalazł namiot Honorego, dzięki porządkowi, który wyznaczał wszystkim ludziom od jednej armaty jeden szereg namiotów tak, że jeden rzut oka na obóz liczbę armat w nim stojących wskazywał.

Gdy Maurycy nadszedł, artylerzyści byli już na nogach, pijąc sobie kawę i kłótnia jakaś powstała pomiędzy Adolfem od pierwszego przedniego konia pierwszej armaty a Ludwikiem, celownikiem od tejże samej armaty. Od lat trzech, jak byli ze sobą ożenieni wedle zwyczaju, który łączył w parę piechura z jeździcem, byli oni ze sobą zawsze w zgodzie, z wyjątkiem chwil, w których do jedzenia się brano. Ludwik, bardzo inteligentny, więcej wykształcony, godził się bezspornie na tę zależność, w jakiej zawsze piechur pozostaje w obec jezdnego. On rozpinał namiot, on pełnił posługi, on gotował zupę, gdy tymczasem Adolf troszczył się o swoje dwa konie z miną absolutnej nad swoim towarzyszem wyższości. Pierwszy wszakże czarny i suchy jak wiór, upośledzony olbrzymim apetytem z żarłocznością graniczącym, buntował się na to, gdy drugi, tęgi chłop, z wspaniałemi blond wąsami przy jedzeniu najlepsze i największe kęsy sobie zabierał. Tego ranka kłótnia powstała ztąd, że Ludwik, który kawy nagotował, oskarżał Adolfa, że mu wszystko sam wypił. Trzeba było ich godzić.

Jak tylko wstali, co rano Honory szedł obejrzeć swoją armatę, w oczach jego musiano ją obetrzeć z rosy nocnej jakby to było zwierzę ukochane, o które się jego pan boi, aby kataru nie dostało. I teraz też stał i ojcowskim wzrokiem pieścił ją błyszczącą w świeżem powietrzu i jasnem słońcu poranka, gdy w tem poznał Maurycego.

— Jak to dobrze!.. Wiedziałem, że sto szósty stoi tu gdzieś w sąsiedztwie, a wczoraj właśnie dostałem list z Rémilly i miałem zajść do ciebie... Chodź, pójdziemy na szklankę białego...

Żeby być sami we dwóch, zaprowadził go do owego folwarczku, który poprzedniego dnia żołnierze zrabowali, a w którym niepoprawny wieśniak, chciwy na zarobek, pomimo wszystko otworzył zaraz potem coś w rodzaju szyneczku, założywszy kram do beczki wina białego swego chowu. Przed drzwiami na desce wydawał swój towar po cztery su za szklankę, a pomagał mu w tem parobczak, przed trzema dniami przyjęty, olbrzym jasnowłosy — alzatczyk.

Już Honory podniósł szklankę, aby się trącić z Maurycym, gdy spojrzenie jego padło na tego chłopa. Przyglądał mu się przez chwilę osłupiały. Potem, trzasnąwszy szklanką o deskę, wykrzyknął strasznym głosem:

— U stu piorunów! Goliat!..

Rzucił się ku niemu i chciał go chwycić za gardło, ale wieśniak, sądząc, że go na nowo rabować mają ochotę, w jednej chwili zrzucił deskę i drzwi zatarasował. Nastąpiła chwila zamieszania, wszyscy żołnierze różnych pułków. obecni przytem, dobijać się zaczęli, a Honory, wybitny pomiędzy nimi, jako podoficer artyleryi, wściekły, z ciągłą klątwą na ustach, krzyczał, dusząc się prawie swoim krzykiem.

— Otwórz psiakrew!.. otwórz bydlę!.. otwórz idyoto!.. To szpieg! ja wam mówię... to szpieg!..

Teraz już Maurycy nie miał żadnej wątpliwości. Poznał on doskonale człowieka, którego wypuszczono w obozie pod Miluzą dla braku dowodów, a człowiekiem tym był Goliat, dawny parobek starego Foucharda w Remilly. Gdy nareszcie wieśniak, zrozumiawszy, że nie o jego skórę tu chodzi, otworzył drzwi, napróżno przetrząśnięto cały folwark, alzatczyk znikł jak kamień w wodzie.

Nie znaleziono jasnowłosego olbrzyma o poczciwej twarzy, którego generał Bourgain

Webera widnieje chęć emancypacyi, opera zaś jego „Sylwana“ względnie do „Freiszütza“ i „Euzianty“ zwiastuje coraz to większe wyzwolenie opery romantycznej od sonaty. Pod piórem młodych [uczniów szkoły romantycznej sonata ostatecznie i zupełnie się wyradza i cała ich muzyka staje się czemś nieforemnem, nieokiełznanem, nieokreślonem.

Mendelsohn i Schumann znowu starają się szkołę romantycznej sonaty przywrócić. Żeby sonatę wskrzesić potrzebowali tylko do Bacha i Beethowena się przyłączyć, a że to uczynili, że przez dzieła swoje plan, porządek i miarę do całej muzyki romantycznej wprowadzili, pozostanie wiekopomną ich zasługą.

Sztuki piękne nigdy jednocześnie i w równym stopniu nie postępowały, z miarą tego postępu jeszcze mniej zgadza się smak publiczności. Schuman i młodzi poeci niemieccy zdają się być duchowo niejako spokrewnieni, melodyje Schumanna przez wrodzoną niby sympatyję ze strofami Byrona i Heinego harmonizują. A jakaż, pomimo to, przepaść śpiew muzyka od śpiewu wspomnianych poetów dzieli. Schumann popiera sonatę, jako artystycznie wykształcony romantyk, restauruje ją — poetom tym przy całej ich nowelistyce prawdziwa nowela, nowela, która na wzór sonaty ścisłym, zwięzłym rysunkiem i jasną dialektyką w budowie sytuacyi zachwyca, z pod rąk się wyślizguje.

Schuman komponuje drobne frazesy instrumentalne p. t. „Noweletki“. Do sonat Beethowena szukano motywów z życia tego mistrza — pisano nowele na temat jego sonat. Zresztą i najpiękniejszy, a bynajmniej nic wspólnego z muzyką i muzykami nie mający, temat bardzo milutko w zewnętrznej budowie podług czterech frazesów sonaty (Allegro, Adagio, Scherro i Finale) dałby się opracować. Maurycy Schwind stworzył nawet obraz, w którym, w czterech, na wzór owych czterech frazesów sonaty, architektonicznie ze sobą powiązanych scenach, nowelę ze sonaty rozwija. Jestto do ozdoby sali muzycznej przeznaczony, jako miedzioryt dosyć zresztą rozpowszechniony i dziwnie bo „Symfoniją Schwinda“ nazwany obraz. Myśl przewodnią do tego dzieła podała malarzowi Fantazyja Beethowena, na chór, fortepian i orkiestrę pisana. Zresztą sławne cykle Schwindowskich bajek: „o siedmiu krukach“ „o kopciuszku“ „o pięknej Meluzynie“ odznaczają się nowelistycznem założeniem i opracowaniem materyjału i nowożytny charakter ogólnej ich budowy objawia się w tem, że rozwijają, zaokrąglają i kończą się jak nowela albo sonata. A Schwind był namiętnym prawdziwej sonaty wielbicielem.

Nowela i sonata w niezliczonych schodzą się ze sobą punktach. Pomimo to nikt dotychczas prawie o pokrewieństwie ich nie wspominał. Istnienie tego pokrewieństwa nietylko historycznie i estetycznie udowodnić się daje, można je też w nowelistycznej formie przedstawić i cały ten odczyt mógłby pod tytułem: „Nowela i Sonata“ jako nowela być napisany. Zazwyczaj prelegent przy końcu krótko, węzłowato a dobitnie myśli przewodnie sumuje. I my więc sprobujmy w formie nowelki, którą „Nowela i Sonata“ zatytułujemy, wszystko cośmy powiedzieli zebrać. Oto pobieżny szkic takiej nowelki: Przedstawmy sobie młodego człowieka, człowieka nowego pokroju: bogatego i ze znakomitego pochodzącego rodu, ponieważ jednak noweli naszej jaknajwiększą wziętość zapewnić chcemy, musimy warunki, które z salonem buduarem, słowem z wyższemi sferami harmonizują, postawić. Młodzieniec nasz jest entuzyjastą muzycznym, członkiem stowarzyszenia protektorów Bajreutu, a zatem zawziętym wszystkich, prócz po-Beethorenowskich sonat, wrogiem. Poznaje on dwie śliczne siostry, córki pewnej w bardzo ograniczonych, stosunkach, ale zawsze jeszcze na arystokratycznej stopie żyjącej wdowy. Ojciec przed kilku laty był się zastrzelił, tajemniczy tedy półcień nieszczęścia upiększa trzy te postacie kobiece. Młodsza córka słynie jako pianistka, grywa z upodobaniem Liszta i Chopina, utwory ich uważając jednak zazbyt skromne i łatwe, stara się przez dodawanie pasażów oktawowych i podwajanie nut utrudnić je i uzupełnić. Ekscentryczna ta istota zawsze potrafi fantastyczne swoje pomysły z zapałem, tak, czasem nawet z cichą czarującą ironiją wyrazić. Jako zawzięta pesymistka uważa cały świat, począwszy od mlecznej drogi do najróżnorodniejszych robaków ziemskich, które ludźmi i zwierzętami zowią, za absolutnie zły, t. j. o tyle zły, że za przybyciem odrobinki zepsucia świat ten żadnymby nie utrzymał się sposobem.

Myśląc konsekwentnie, młoda nasza dama tę muzykę uważa za najwięcej harmonijną, która najmniej śpiewności i harmonii zawiera. Ponieważ klasyczni twórcy sonaty, jako optymiści, świat Boży dziwnie dosyć, bo pięknym, doskonale nawet udatnym mianowali, to młoda pesymistka z zasady sonatę nienawidzi.

Nie dziw, że młodzieńca pociąga dziewczyna — z pięknych jej ust wypływają jego własne ideały. I ona znajduje, że młody człowiek ten jest jakoś... najudatniejszą niby istotą na tym strasznym świecie. Miłość kiełkuje i, jak widzimy na gruncie zupełnie nowożytnym.

Z początku zakochanemu zdaje się, jakby przedmiot jego miłości łączył w sobie wszytkie wdzięki, wnet jednak spostrzega brak wdzięku opozycyi. Troszkę herezyi zawsze powab kobiety w oczach wielu mężczyzn zwiększa, gdy tymczasem taką samą różnicę zdania u przyjaciela ciż sami mężczyźni znaleźliby nieznośną. Wobec bo kobiety mężczyzna jak wobec dziecka zdaje się odczuwać swą wyższość i, co w każdym innym razie nazwałby pomyłką lub nierozsądkiem, tu miłą grą humoru, lub czarującą naiwnością mieni. Piękne to złudzenie: cieszymy się z fikcyjnie ograniczonego pojęcia kobiety, nie chcąc własnych nierozsądnych złudzeń widzieć. Ten mały paradoks, już sam przez się, jest nader wdzięcznym do noweli materyjałem — zostawmy go jednak na uboczu. Każda prawidłowo zbudowana nowela musi zawierać źdźbła tematów do pół-tuzina innych noweli, autor tematy te tylko zaznacza, by czytelnika za-

---

Desfeuilles wypytywał wczoraj o różne rzeczy bezskutecznie i przed którym, jedząc obiad, wyspowiadał się ze wszystkiego, co wiedział, w całej pełni swej nieoględności.

Musiał zapewne łotr ten wyskoczyć na tyły domu przez okno, które zastali otwarte, ale i okolicę całą przetrzęśli starannie, nie znalazłszy nic. Ten olbrzymi chłop zniknął jak dym, jak kamfora.

Maurycy musiał odciągnąć na bok Honorego, który w rozpacy i wściekłości za wiele gadać zaczął przed kolegami, niepotrzebnie ich w smutne sprawy rodzinne wtajemniczając.

— U stu piorunów!.. A byłbym go udusił z taką przyjemnością!.. Właśnie dostałem list, który mnie jeszcze bardziej na niego rozwścieklił.

Gdy usiedli nareszcie na kłodzie o kilkanaście kroków od folwarczku, Honory podał mu ten list do przeczytania...

Zwykła to historya, ta miłość Honorego Fourcharda i Sylwiny Morange, miłość z przeszkodami!.. Ona, brunetka, z oczyma, w których uległość się malowała, straciła bardzo wcześnie matkę... Ojca nie znała, matka ta bowiem była uwiedzioną robotnicą z fabryki w Raucourt. Doktór Delichamps, który ją wypadkiem do chrztu trzymał, poczciwy człowiek, zawsze gotów adoptować dzieci nieszczęśliwych dziewcząt, którym rodzić pomagał, — umieścił ją jako dziewczynę do posług u starego Foucharda. Co prawda, stary chłop z roli, który został rzeźnikiem przez chciwość i który rozwoził mięso krwawe po dwudziestu gminach okolicznych, był bardzo skąpy i nielitościwie surowy, ale będzie miał oko na małą, a jeśli pracować będzie chciała, to przecież sobie coś uciuła. W każdym razie uratuje ją to od rozpusty, jaka panuje w fabryce. Stało się jakoś naturalnie u starego Foucharda, że syn pana i mała służąca pokochali się wzajem. Honory miał lat szesnaście, Sylwina miała dwanaście, a gdy ona doszła do szesnastu, on miał dwadzieścia. Stanął wtedy do powinności wojskowej i kontent był, że wyciągnął dobry numer, bo mu to pozwalało z nią się ożenić. Przez dziwną uczciwość, której podstawą był spokojny i rozważny charakter chłopaka, między niemi nic nie było, prócz obfitych całusów w stodole. Ale gdy powiedział ojcu o swoich zamiarach, stary, rozwścieklony, wykrzyknął, że wprzód jego zabić będą musieli, ale... spokojnie dziewczyny nie oddalił, myśląc sobie, że namiętność swoje zrobi, a potem chłopakowi to ze łba wywietrzeje. Przez dwa lata jeszcze oboje młodzi ubóstwiali się wzajemnie, pragnęli się, ale pokusie nie ulegli. Potem, na skutek jakiejś sceny pomiędzy ojcem i synem, Honory, nie mogąc pozostać dłużej w domu, poszedł na ochotnika do wojska, został wysłany do Afryki, a stary tymczasem uparcie trzymał służącą, z której był zadowolony. Wtedy stała się rzecz ohydna. Sylwina, która przysięgła, że czekać będzie, w dwa tygodnie później ni stąd, ni zowąd, znalazła się w objęciach parobka, od paru miesięcy przyjętego, tego Goliata Steinberga, co go prusakiem nazywano, poczciwego, jak się zdawało, chłopca o krótkich jasnych włosach, o szerokiej twarzy różowej, zawsze uśmiechniętej, chłopaka, który był przyjacielem, powiernikiem Honorego. Czy stary Fouchard podstępnie dopomógł do tej awantury, trudno wiedzieć. A może Sylwina oddała się w chwili nieświadomości, a może była nawpół zgwałcona, wtedy, gdy osłabiona z żalu cierpiała, spłakana łzami rozłączenia?.. Ona sama zresztą nie wiedziała jak się to stało i jak piorunem rażona, gdy się matką poczuła, godziła się teraz na konieczność wyjścia zamąż za Goliata. On zresztą sam zawsze uśmiechnięty, nie odmawiał, ale oddalał dopełnienie formalności do urodzin dziecka. (D. c. n.).

intrygować i domyślność jego na szwank wystawić. Kto przy pisaniu jednej noweli nie ma pomysłów do sześciu innych, prawdziwie biednym jest człowiekiem.

Lecz wracajmy do rzeczy. Młodzieniec spostrzega w swojej lubej brak ducha sprzeciwieństwa z ogólnie ludzkich przyczyn. Odczuwa jednak ten brak podwójnie, bo jest artystą, bo stronnictwo muzykalne, do którego należy, ma szczególne upodobanie wszystkiemu, co świat za klasyczne, wzorowe, niezrównanie piękne uznaje, zaprzeczać, bo stronnictwo to odrzuca każdą powagę artystyczną, każde prawo estetyczne, a najwyższy jego ideał to wypisane w nutach sprzeciwieństwo, najwyższą jego ambicyją — nowość, za jaką by to ni było cenę. Podczas gdy piękna pianistka z prawdziwie kobiecą wiarą tę dwuznaczną nowość jak ewangelium traktuje i w coś klasycznego ją przeistacza, w oczach kochanka coraz więcej czasu i wdzięku traci. Rozgniewany oponuje gdzie miałby się zgodzić, a myśl, że śmiał przeczyć napełnia go przestrachem. Panna spostrzega jego rozstrój, ale, nie odgadując przyczyny, sądzi, że za mało czyniła i wpada w przesadę. Młody człowiek widzi w niej teraz karykaturę, wcielenie satyry na jego własny entuzyjazm, — a to już bardzo źle. W przyjacielu zbytek dobrego może się nam podobać, — w kochance zawsze nas razi. Zapalony adorator staje się zapalonym przeciwnikiem, duchem dręczycielem; a jednak od pięknej dziewczyny odpychają go te same przymioty, które go do niej pociągały.

Namiętna pianistka ma drugą, starszą od siebie, siostrę, istotę innego zupełnie rodzaju. Nie dba ona o stronnictwa artystyczne i ich zasady, a grywa tylko w samotności, dla siebie; gospodaruje w domu i posiada daleko wszechstronniejsze i bogatsze wykształcenie, aniżeliby się to z pozoru zdawać mogło. Wyraża się bardzo skromnie i naturalnie, zawsze jednak logicznie i prawdziwie. Jest uosobieniem cichej pogodności, która się i jej otoczeniu udziela. Początkowo panienka ta młodzianowi naszemu była obojętną i, o wiele ją, niżej od, otoczonej aureolą blasku, młodszej siostry stawiał. Stygnąc dla ostatniej czuje się pociągniętym do pierwszej, lituje się nad nią, chce ją podnieść, uczyć, nawrócić. A litość i chęć nawrócenia w połowie starczą dla pozyskania serca pięknej dziewczyny, — i oto nowy nowelistyczny problemat cała bowiem wyższa nowelistyka jest stosowaną psychologiją.

Dziewczyna nie daje się nawrócić, — panicz opiera się powabom jej duszy. Zauważa bo w niej zbytek skromności, naturalności, a wskutek tego brak wszystkiego, co niezgłębione, tajemnicy czarną okryte zasłoną. A jednak czuje się do niej jakby przykutym, nie wie dlaczego, nie pojmuje, co aż nadto dokładnie w stosunku do młodszej siostry rozumiał. Zastanawia się i na myśl nowa mu się nasuwa zagadka. Jednym rokiem obie siostry różnią się w wieku, są do siebie uderzająco podobne, wyraz oczu, dźwięk głosu u obu jeden, obie razem zawsze żyły, razem szkołę życia przeszły, a co za kontrasty duszy, duszy i charakteru! Czem sobie to tłómaczyć? I niepostrzeżenie z tego pytania wypływa tajemnica, która nagle istotę starszej, rozsądniejszej siostry okrywa.

(D. n.)

ECHA ARTYSTYCZNE.

(Kor. „Myśli“).

Występy Sary Bernhardt — jej gra, repertuar i znaczenie dla sztuki scenicznej.

Wiedeń 31 Października 1892.

Wszelki talent i geniusz wielkim jest przez małość swego otoczenia; najwyższemi wydają nam się drzewa na szerokich równinach śród krzaków. Sara Bernhardt, Adelina Patti, Eleonora Duse i jak się tam jeszcze zowią koczownicze aktorki, śpiewaczki i recytatorki dawno zrozumiały tę prawdę i jadą po świecie w towarzystwie tak lichych partnerów, że słuchaczom i widzom trudno rozstrzygnąć, czy gra ensemblu jest nędzniejszą, czy gra heroiny znakomitszą nad wszelki wyraz.

Ale na nieszczęście sztuka sceniczna nie jest polem dla popisu jedynej wyłącznie aktorki, czy aktora! Przywykliśmy na scenie jeszcze widzieć dzieła poetyczne! Co więcej! Dramat jest najwyższym dziś jeszcze wyrazem poezyi, mimo usiłowań naturalistów wywalczenia romansowi pierwszego w literaturze miejsca. Romans Zoli i Flauberta, Goncourtów i Bourgeta miał ogromny wpływ, nabył ogromnego znaczenia, ale nigdy nie był i nie będzie dziełem sztuki tak w sobie zamkniętem i skończonem, jak znakomity utwór dramatyczny wielkich klasyków francuskich. Pojął to sam Zola, czyniąc staranie o dramatyzowanie swoich powieści („L'assomoir,“ „Rêve“ i t. d.) W powieści, która zrodziła się ze starego eposu, fatum rządzić może, los, ślepy przypadek a największy z naturalistów przedstawia swoje postacie właśnie w walce z ślepem przeznaczeniem w („Au bonheur des dames,“ w „Germinal“ w „Debâcle“ i t. d.) Dramat jest historyą psychicznych walk, z których czyny się rodzą. W tej genezie uczuć i czynów wszelka przypadkowość wykluczoną jest. Bohater, walczący o jakąś ideę i zabity na scenie od cegły, spadającej z dachu, byłby nonsensem dramatycznym! W powieści mógłby uchodzić. Fantazya nasza może złagodzić przy czytaniu niesprawiedliwość przypadku, na otwartej scenie — nigdy!

Dramat jest więc rodzajem sztuki, w którym umotywowanie każdego wypadku jest pierwszym warunkiem piękna. A dalej jest też rodzajem sztuki, w którym dla żadnej z postaci występujących niema pola do jakichś wyjatkowych, nadludzkich czynów. Romantyczna bohaterskość, siła bojownika, który rzuca swój miecz na szalę wypadków, mają ostatnie refugium dziś w baśniach epickich. Dramat ma wstręt przed nadzwyczajnością.

Wszystkie te uwagi nastręczyły mi się prawem kontrastu podczas występów Sary Bernhardt *). Przyjeżdża sobie aktorka do Wiednia, która nosi w każdej roli trzy lub cztery (a nawet pięć w jednej) toalet, cudownie, czarownie, szykownie wymyślonych i sporządzonych, która umie się śmiać jak dziecko i szczebiotać jak podlotek i kochać z niewinnością dziewicy i wyrafinowaniem kurtyzany, która płacze, słania się i omdlewa w rozpaczy, w namiętności i umiera co wieczór w inny sposób — i tym co prawda bogatym zasobem środków technicznych chce nam sztukę reprezentować! Niepomna, że aktor najgenialniejszy może tylko odtwarzać, gra Sara Bernhardt nie takie role, które same przez się żyją, ale tylko takie, które sposobność nastręczają do wyczerpania wszystkich przymiotów grającej. Nie wie ona — zdawałoby się — że choćby Talma, Garrick i Kean, Laura Siddons Rachela i Schrödter grali w jednym wieczorze dajmy na to abecadło, rozdzieliwszy między siebie role od a — f od g — m, od n — q, od r — v i t. d. i deklamując litery, śmiejąc się niemi, płacząc i zgrzytając zębami, rozpaczając i rezygnując, omdlewając (o!) i umierając (z!) że wszyscy ci pierwszorzędni aktorzy nie mogliby uratować całym swoim arsenałem środków takiego popisu abecadłowego i wmówić w nas, że widzimy sztukę na scenie.

Sara Bernhardt w rozmowie z jednym Rotterdamskim dziennikarzem surowy bardzo wydała sąd o naturalistycznych zapędach na scenie, o płytkości nowych dramatów i wyraziła zdanie, że powrócić musimy do klasycznego dramatu. Dlaczegoż ona nie wraca do niego w wyborze swoich ról? Dlaczego wybiera takie sztuki, w których loika kombinacyi, możliwość wypadków, ciągłość i jednolitość charakterów tak szwankuje, że trudno uwierzyć w to, co się na scenie dzieje? Dlaczego wielki swój talent poświęca lichym klejonkom scenicznym bez myśli przewodniej, bez podkładu etycznego, bez piękności choćby tylko poetycznej w szczegółach, w dyalogu, w zdaniach włożonych w usta postaci występujących?

Jakaś straszna próżnia zostaje po wszystkich: Margeritach, Fedorach, Toskach i Kleopatrach Sary Bernhadt. Jest to klątwa wszystkich produkcyj scenicznych, jeśli w nich na płacz, śmiech, rozpacz, na toalety wreszcie więcej używa się sił i uwagi, niż na samą treść, która te łzy i śmiech wywołać ma, która takich rzekomo a nie innych kostjumów wymaga.

Kazde dzieło sztuki musi odznaczać się harmonią swoich części składowych i jednością, płynącą z tej harmonii. Sara Bernhardt tego prawa nie uznaje. Jej role tak przeważają w dramacie, tak wszystkie inne zaciemniają, że gra jej schodzi na monolog z przerwami półsennych cieni, snujących się po scenie.

Kiedy nie stało w repertuarze dawniejszym ról dla aktorki, zamawiała sobie utwory nowe, umyślnie dla niej pisane. Krawiec dostarczał jej toalet wedle udatnych jej pomysłów a Victorien Sardou — ról. I to ma być sztuka! Sara Bernhardt wędruje z tym swoim sklepikiem kolporterki śmiechów, jęków, łez, deklamacyi, naiwnej rozmowy, nienawiści, rozpaczy, miłości i wystawia wszystko, co umie w 7-miu wieczorach. I to ma być sztuka! Że też ludzie tak często się mylą i środek, prowadzący do rzeczy, biorą za rzecz samą! Z Ruysdala krajobrazu nikomu nie wpadnie wyciąć kilka krzewów i ogłosić je dziełem sztuki, choć wydarte są z harmonijnej całości — a jeszcze mniej odważyłby się ktoś dyktować nam zachwyt piękną mieszaniną farb, z której powstać ma, jeśli Rafael w niej pędzel umoczy, Madonna Sykstyńska.

Akompaniamentu basowego najwspanialszej sonaty nikt jeszcze nie uznał dziełem sztuki. Ale sztuką ma być poza i mimika i wyraz namiętności znakomitej aktorki w najnędzniejszej oprawie nieloicznych wydarzeń, niemożliwych scen! Ilekroć widzę taką królowę świecidełek, taką księżniczkę teatralną, taką obrylantowaną samicę, przypominają mi

*) Sara występowała od 27 z. m. do 4 bm. w Warszawie, gdzie na deskach teatru Wielkiego święciła tryumfy. Z Warszawy udała się artystka wraz ze swą trupą do Petersburga na szereg gościnnych występów. (*Przyp. red.*)

się wątłe organizmy dziecięce z ogromnemi głowami. Lud nazywa je „wodogłowami“ i twierdzi, że dzieci takie lat nie dochodzą.

I ta sztuka uprzywilejowanych aktorek, która takie dziś święci tryumfy, lat nie dojdzie. Aktor jest artystą, jeśli poddaje swoją zdolność pod wielkie, odwieczne warunki zdrowego rozsądku i smaku. Przyznaję, że należę do tych starych bałwochwalców, którym nie weszło jeszcze słońce objawienia Dumasów i Sardou'ów, którzy w starym dramacie Szekspira więcej widzą piękna, uczucia a przedewszystkiem rozumu, niż w nowszej dramaturgii nadsekwańskiej, którzy jeden akt Rasyna, w cichym kącie bez dekoracyi i światła scenicznego odczytany, wyżej cenią, niż wszystkie występy Sary Bernhardt w rolach Toski lub Fedory, Denizy lub Kleopatry, Gilberty lub Margerity. Przyznaję, że dla mnie ślepego i głuchego zapewnie na tę całą nową sztukę jeden wiersz Słowackiego lub Goethego a nawet drugorzędnych w porównaniu z tymi poetów jak Heinego lub Musseta większe ma znaczenie, niż „oklaskiwany przez całą (?) Europę“ artyzm Eleonory i Sary: Duzy i Bernhardt.

Eleonora Duze prosiła jedną ze swoich znajomych, aby jej przetłumaczyła listy hamburskie Lessinga i zachwycała się głębokiemi uwagami największego krytyka niemieckiego. Niestety w doborze sztuk przez nią grywanych nie widać wpływu tej lektury. Eleonora Duze ma niepospolity talent odgadywania piękności poetycznych, i charakteru dramatycznego utworów. Za jej staraniem wystawiono po raz pierwszy w r. 1884 (jeśli się nie mylę) Vergi: Cavalleria Rusticana i odkryto tę prawdziwą perłę dramatyczną. Żywo zajmuje się ta utalentowana artystka wszelkiemi objawami sztuki swej ojczyzny, studyuje muzykę i taniec, typy ludowe i mieszczańskie w teatrze i operze i gorzko ubolewa nad nędzą finansową niepoślednich talentów włoskiego dramatu. A jadąc po Europie co nam daje? Denizę i Gilbertę (Froufrou), Margeritę i Fedorę! Eleonora Duze uchwyciła się repertuaru Sary Bernhardt i walczy z nią o lepsze w objawianiu całej rozległej skali środków scenicznych. Eleonora Duze w oddaniu realistycznych szczegółów przewyższa jeszcze francuską aktorkę, ale za to nie posiada czarującego jej organu, ani tego niewysłowionego powabu zaokrąglonej i plastycznie wykończonej pozy. Nie przeczę, że wpływ tych dwóch wielkich aktorek na współczesną grę sceniczną może być bardzo doniosły. Zabija on czczą deklamacyę, rozbrat wziąść każe z wszelką tradycyą nieuzasadnioną. Duze zwłaszcza robi wrażenie improwizatorki na scenie. Wszystko płynie u niej z natchnienia, z namiętności, z rozmysłu co chwila rodzącego się. Widz nigdy nie odbiera wrażenia, jakoby artystka ruch jakiś, słowo jakieś... miała w zanadrzu — jak się to często zdarza na scenach!

W rolach salonu Sara Bernhardt bezsprzecznie przewyższa swoję wielką rywalkę. W „Damie kameliowej“ Eleonora Duze, mimo łez szczerych, które sama płacze i u słuchaczów wywołuje, nie może z nią wytrzymać porównania. Dzikszą, prawdziwszą jest w wybuchach namiętności, ale nie umie z tą przerażającą zgrozą oddawać cichego, zamkniętego bólu rezygnacyi obezwładnionej.

Ale cóż za korzyść odnosi sztuka współczesna z tych wszystkich rzadkich przymiotow Sary Bernhardt? Gdyby używała ich w celu ożywienia dramatów wielkich mistrzów, gdyby mniej była kobietą, żądną oklasków i złota, a więcej artystką, kochającą szczerze piękno, co za ogromny przewrót mógłby nastąpić w pojęciach estetycznych, jak wielkie podniesienie się smaku! Ale zamiast wiernie służyć poezyi, Sara Bernhardt wprzęga do swojego rydwanu podupadłych dramatyków, jak Victoriena Sardou i zamawia sobie takie okropności sceniczne, jak „Toskę.“

Na scenie niemal otwartej męczą Mariona, jej kochanka, a Tosca błaga oprawców o litość! Męczarnie fizyczne i psychiczne mają zastąpić nerw dramatyczny innych, estetyczniejszych pomysłów. Potem Tosca, aby uratować swego kochanka, morduje barona Scarpię, który go więzi! Ta scena mordu jest mistrzowską. Szkoda tylko, że cały utwór schodzi na pantominę. Szkoda, że żaden talent dramatyczny na takich występach niczego się nie nauczy, że owszem otrząsnąć się musi z tych obrazów, aby nie wejść na nienaturalne ścieżki!

Chorzy jesteśmy, kiedy spieszymy na takie przedstawienia. Trzeba nam jęków, zgrzytania zębów, płaczu... tuż obok śmiechu, wyznań pół szeptanych i uścisków, trzeba nam tych przeskoków nienaturalnych z jednego stanu duszy w drugi, które nas targają, dręczą a mimo to wabią.

Zdenerwowanym, znużonym, nie wierzącym w nic potrzeba tej gry nerwowej, która szydzi z wszelkich reguł nie tylko sztuki ale i rozumu.

Biedny i chory jest ten koniec wieku! Biada nam, jeśli się nie opamiętamy, jeśli nie wrócimy do cichych, spokojnych źródeł szczęścia w życiu — i w sztuce.

Dr. H. M.

TEATR.

„Dzieci muzy.“ Fr. Domnika. — „Wet za Wet“ Chmurki (p. Prylińskiej). — „Parawanik“ M. Wołowskiego. — Uwagi ogólne.

W czasach obecnych, pełnych skarg i uzasadnionych poniekąd żalów na dekadencyę prawdziwych, z »Bożej łaski« talentów, w okresie powszechnego gonienia za sławą i reklamą przez wszelkiego gatunku miernoty i mizeroty literackie — cieszyć się należy z rozwoju istotnych zdolności i popierać je wedle sił, zwłaszcza, jeśli się ma do czynienia z ludźmi skromnymi, z pracownikami, stojącymi zdala od ringów i koteryj. Do takich bezwątpienia należy Domnik (Dorowski) o którym »Myśl« niejednokrotnie już miała sposobność wspominać.

Najnowsza jednoaktowa komedya autora »Wigilji św. Andrzeja« i »Promyka słońca« świadczy, że p. Domnik nie tylko »robi« sztuki, ale je tworzy, dając słuchaczom prócz formy — także treść zdrową i niepowszednią. »Dzieci muzy« osnute są na tle życia cyganeryi malarskiej, a więc życia, obfitującego w troski i kłopoty codzienne, ale mimo to wesołego, brzemiennego nadzieją i otuchą, promieniejącego wiarą w ideał sztuki. Widzimy kilku takich synów muzy, których przy pracy w nieogrzanym pokoju, odpowiednio »umeblowanym« nie opuszcza humor i werwa. Jeden z nich (Bolski) kończy swoją »Ofelję,« którą gotów jednak każdej chwili przerobić na św. Barbarę, gdy mu jakiś szlagonprotektor proponuje wymalowanie takiego obrazu. Na scenie wre i kipi, choć dzieci Apellesa kurczą się od zimna, głodni i spragnieni. Amator św. Barbary ratuje chwilowo sytuacyę, daje bowiem zaliczkę, za którą Bolski urządza wielką »fundę.« Typowy posługacz malarski, którego podarta kurtka mieni się od kolorów, rozlanych na palecie — znosi więc zapasy i za chwilę słyszymy głośne wiwaty i toasty pokrzepionej na ciele braci. Do »dzieci muz« zalicza się także literat Drobisz, któremu się sztuki »nie udają.« Uskarza się on na subjektywność krytyki i powiada, że gotów już był złamać pióro, zniechęciwszy się niepowodzeniem, ale podniecony teraz wiarą malarzy, ich hasłem: »sztuka dla sztuki« porzuca swą myśl pierwotną. Malarz Janosz, zawzięty dotąd przeciwnik małżeństwa, na widok pięknej Róży Lisieckiej, której matka zamawia u niego dwa obrazy »za gotówkę« — wypiera się dawnych przysiąg i, wśród nadzwyczaj oryginalnych powinszowań kolegów, decyduje się zapalić pochodnię hymenu. Oto, mniej więcej treść niebogata komedyi Domnika, zalecającej się za to prawdą życiową, psychologicznie wierną i uwzględnieniem subtelnych wymogów teatralnej sztuki. Teatrowi krakowskiemu należy powinszować jej wyboru, artystom zaś dobrego wykonania utworu kolegi.

Tegoż wieczora wystawiona oryginalna jednoaktówka utalentowanej literatki p. Prylińskiej (Chmurki) (której zgrabną nowelę pt.: »Dlaczego?« drukowaliśmy w odcinku »Myśli),« pociąga urokiem świeżości i wykwintnością iście niewieściego sprytu. Jest to drobiazg, ale drobiazg ładny i elegancki. Tło pana Domnika jest bardzo mało wyzyskane, ale już Sienkiewicz w głośnej »Tej trzeciej« zaznajomił publiczność trocha z niezwykłością życia artystów-malarzy, dał jakby bodźca innym pisarzom do szukania tematów w skarbnicy malarskiej. P. Domnik może poszedł za danym przykładem, nie sięgnął głęboko, stworzył jednak obraz doskonały. — Jeśli domyślam się, za czyim przykładem podążył p. Domnik, — to trudniej będzie odgadnąć, kogo naśladuje p. Chmurka. Mniejsza zresztą o to, przyznajmy młodej autorce oryginalność koncepcyi.

Oto, młoda wdówka Zula, pocieszywszy się po stracie starego i bogatego męża — snuje reminiscencye na temat dawniejszych, rzekomo prawdziwych uczuć do literata Henryka. Kochając jeszcze tamtego »pierwszą miłością« pozwala się bałamucić wielu innym, zwłaszcza zaś malarzowi Zdzisławowi, mającemu poważne względem niej zamiary. Przypadek zsyła Henryka (dawną miłość) do Szczawnicy, gdzie bawi Zula. Niby literat, właściwiej zaś zawodowy »bawidamek« i zdobywca serc, przypomina Zuli pierwsze wyznania i błaga oporną o schadzkę, ale na karteczce papieru, gdzie kreśli, że w razie odmowy — zabije się. Zamiast jednej kartki — pozostawa jednak dwie, prawie równobrzmiące, oczywiście, nie do jednej osoby adresowane. Zula płonie zemstą... i mści się... po kobiecemu. Na umówionej schadzce podstawia manekina, który służył malarzowi za model do jej potretowania i, za kotarą ukryta, przysłuchuje się poetycznym oświadczynom Henryka, który deklamowałby może dłużej, gdyby światło księżyca nie rozjaśniło lalkowatej twarzy. Pomszczony srodze — ucieka. Zula (świetnie grana przez p. Siennicką) oddaje swą rękę wiernemu w afekcie malarzowi.

Trzecia jednoaktowa premjera p. t. »Parawanik,« wyszła z pod pióra znanego pisarza p. Michała Wołowskiego.

Szkoda wielka, że utwór ten zdolnego

skądinąd literata nie pozostał gdzieś za parawanikiem, miasto oglądać światło sceniczne. Rzecz to słaba w robocie i bardzo naiwna w treści. Kokoty, oszukujące »en masse« dających się brać na czułość starszych mężczyzn i zasłaniające się smarkaczami, niby aspirantami do ich ręki — djablo spowszedniały tak w życiu, jak i na scenie. »Nie wypada« prezentować publiczności niczem nie zalecające się szpargały.

Artyści grali w pierwszych trzech sztusztukach ogółem bardzo dobrze, jedna tylko p. Nawrocka mniej się kwalifikuje do grywania ról kokot.

W utalentowanej tej artystce, stawiającej dopiero pierwsze kroki na scenie jest raczej materyał na bohaterkę w wyższym stylu, dlatego też radzimy p. N. nie marnować na razie sił w rolach półświatówek.

Repertuarowi sceny krakowskiej zarzucić można było do niedawna pewną awersyę do oryginalnych komedyj polskich. Obecnie — z przyjemnością to stwierdzam — widać zwrot ku lepszemu. Wprawdzie wznowienia to jeszcze nie wszystko, co dałoby się w tym kierunku, ku podniesieniu sceny i twórczości literackiej, zrobić, ale dochodzą nas słuchy, iż dyrekcya przygotowuje szereg nowości oryginalnych, w tej liczbie kilka utworów młodych pisarzy. Nie wątpimy również, że dyrekcya nie omieszka skorzystać z warszawskiego konkursu »Kurjera,« którego owocem są trzy, podobno bardzo dobre komedye: »Flirt,« »Szare życie« i »Nauczycielka.«

Ensembl artystyczny naszej sceny stracił niewątpliwie dużo na ubytku pp. Żelazowskich i p. Dzirytówny, a braki te będą wypełnione dopiero w nowym przybytku sztuki.

Wielu, bardzo wielu rzeczy spodziewamy się po dyrektorze nowego teatru w Krakowie, któremu należy w pierwszym rzędzie pozostawić szeroką autonomję, gdyż na proponowane obecnie w komisyi teatralnej warunki dzierżawy — żaden rozsądny człowiek zgodzić się nie powinien.

Józef Bornsztein.

ERNEST RENAN.

(Kor. „Myśli").

Paryż, w październiku 92.

Śmierć Ernesta Renana jest bezwątpienia najważniejszym wypadkiem, jaki wypada zanotować w sprawozdaniu z życia powakacyjnego Paryża. Spadła ona niespodzianie; lekkie przeziębienie po powrocie z słonecznej, nadmorskiej Bretanii wystarczyło, aby zwalić niezbyt wielkiem wprawdzie brzemieniem lat obciążonego, lecz z natury wątłego i chorowitego myśliciela na łoże boleści. W przeciągu kilku dni choroba wzmogła się groźnie, a kiedy drugiego października wieczorne pisma doniosły o zgonie autora „Życia Jezusowego" publiczność była prawie przygotowaną. Podeszli ludzie nie wychodzą zwycięsko z zapasów ze śmiercią.

Że w Renanie Francya straciła jednego z pierwszych mistrzów myśli i pióra, że ów zmarły w murach doktryn i dogmatów wielki zrobił wyłom, że jako uczony przyczynił się do oświetlenia niejednej stronicy dziejów ludzkości — nikt nie wątpi. Że jednak pod względem przekonań nietylko społecznych, lecz nawet religijnych, Ernest Renan nie daleko odpadł od pnia burżuazyjnego, na to można znaleźć liczne dowody w jego pismach i jego życiu. Prócz „Żywota Jezusowego" napisanego zresztą tylko „dla wybrańców" nie dla „maluczkich" i dopiero w kilkanaście lat po swem ukazaniu się rzuconego w świat w wydaniu tańszem, nie stworzył on nic, coby istotnie prowadziło ludzkość naprzód. Wielki jako stylista, był bardzo małym jako jednostka społeczna i mocno chwiejnym jako uczony. Opinij swoich politycznych nie zamykał w kółku przyjaciół, lecz publicznie występował przeciw demokracyi, przeciw głosowaniu powszechnemu: słowem i czynem.

Urodził się w r. 1823 w Tréguier w Bretanii. Nauki rozpoczął w miejscu swego urodzenia. W 1838 wysłali go rodzice do małego seminaryum Saint-Nicolas-du-Chardonnet w Paryżu. Pod kierownictwem znanego w świecie naukowym opata Dupanloup spędził tu trzy lata, potem przeszedł do domu d'Issy, również założonego przez księży. Wykłady opata Magnier, stronnika filozofii szkockiej, i opata Le Hir nauczyciela języka hebrajskiego, zaprzątnęły go najbardziej. Pod ich to wpływem zwrócił się do badania psychologii języków semickich; w r. 1847 przywdziały jego studya suknię „Porównawczej historyi języków semickich" i otrzymały w Instytucie nagrodę Volneya.

Dopóki Renan zajmował się lingwistyką, zwątpienia trzymały się na uboczu od jego umysłu. Lecz gdy zabrał się do teologii, wtargnęły szeroką lawą. Młody uczony długo walczył ze sobą, w końcu spostrzegł, że elementy nowe większą mają siłę żywotną, niż dawne. Przechylił się więc na ich stronę, a niechcąc być obłudnym, postanowił opuścić zakład, w którym się kształcił. Wyszedł na biedę, nie mając pieniędzy musiał początkowo brać ciężką pracę, żyć z pisywania artykułów, sprawować urząd pomocnika dyrektora prywatnego zakładu naukowego. Równocześnie, chcąc wstąpić na uniwersytet, był zobowiązany powtórzyć wszystkie egzamina, począwszy od gimnazyalnych.

Zwalczył szczęśliwie przeszkody a w r. 1849 wydawszy dwie prace: „Wyjaśnienia kilku stron wymowy greckiej za pomocą języków semickich" i „Studyum języka greckiego w wiekach średnich" zwrócił na siebie ponownie uwagę Instytutu. Dano mu nową nagrodę, akademia napisów wysłała go do Włoch. Tu prowadząc poszukiwania archeologiczne, zbierał materyały do swej rozprawy doktoryzacyjnej o filozofie arabskim Averroesie (Averrio ès et l' Averrhoïsme Paris 1852). W r. 1851 otrzymał miejsce przy bibliotece narodowej, w pięć lat później obrała go akademia napisów swym członkiem na miejsce zmarłego Augustyna Thierry. W tym okresie wyszły jego studya filologiczne, które w połączeniu ze stylem barwnym i dźwięcznym zapewniły mu sławę w świecie literackim i naukowym: „Studya z historyi religijnej", „O początku mowy", „Księga Hioba" przetłómaczona z hebrajskiego i poprzedzona przez studyum: „O wieku i charakterze poematu", „Nowe uwagi o charakterze ogólnym ludów semickich", „Księga pieśni", poprzedzona podobnym wstępem jak Hiob. Stosunki przyjacielskie połączyły go z Sainte-Beuvem i księciem Napoleonem, synem cesarza, gdy więc w r. 1860 okazał chęć wyjechania do Syryi, cesarz zorganizował wyprawę naukową do Palestyny, zaopatrzył go we wszystko, co było mu potrzebne do jaknajskuteczniejszego prowadzenia badań, a po powrocie udekorował go krzyżem legii honorowej i zamianował profesorem języka hebrajskiego w Collège de France.

W Syryi zrodził się w umyśle Renana plan „Żywota Jezusowego". Przenosząc się myślą do tego uroczego kraju wschodniego, pracował w latach 1861—3 nad swojem dziełem. Poświęcił je pamięci swej siostry, drogiej dla niego istoty, straconej podczas podróży na Wschód. Na rok przed ogłoszeniem najbardziej znanej swej pracy odczytał w Collége de France wstępną lekcyę: „O udziale ludów semickich w dziejach cywilizacyi".

„Żywot Jezusa" i „Udział ludów semickich" wywołały niesłychaną wrzawę. W obydwóch były wyrażone te same myśli. Traktowanie początków chrześcijaństwa jako dziejów wyłącznie ludzkich oburzało elementy klerykalne. Powódź broszur, odezw i artykułów dziennikarskich zalała dwie nieduże książki. Zawieszoną od wstępnego odczytu godność profesora uniwersytetu odebrał Renanowi po „Żywocie Jezusa" całkowicie już — minister Durny. Jedenastego czerwca 1864 r. otrzymał Renan oficyalne zawiadomienie o swej degradacyi. Że nie zadała mu ona pod względem materyalnym żadnego ciosu, nie podlega kwestyi. Natomiast przyczyniła się do ugruntowania jego sławy. Stosunki przyjazne z domem cesarskim, dobrze płatne spółpracownictwo w Revue des deux mondes i Journal des débats pozostało mu. W r. 1866 wyszedł drugi tom „Historyi początków chrześcijanizmu": „Apostołowie" po nim przyszedł „Święty Paweł" „Antychryst". Ostatni tom wykończony w r. 1883 traktuje o Marku Aurelim. Materyały zebrane w Fenicyi i Syryi, zostały dopiero teraz po burzy opracowane: „Trzy napady fenicyjskie" (1864) „Wyprawa do Fenicyi" (1864—74) „Nowe uwagi o epigrafii hebrajskiej", „Napady hebrajskie w Kefr-Bereim". (Dok. nast.)

W. Bugiel.

RUDOLF J. KRONBAUER.

PAMIĘTNIKI SEKUNDARYUSZA.

Z czeskiego przełożył Wojciech Szukiewicz.

(Ciąg dalszy).

W pół godziny była wizyta ukończona. Nie mam wcale szczególnych egzemplarzy na swoim oddziale. Gdyby nie było tej Kręcickiej, weredyczki „Komety," byłoby cały dzień na oddziale cicho. Są dwie dewotki, męczące cały dzień różaniec w ręku i szepczące modlitwę za modlitwą. Chuda najwyżej trzydziestoletnia kobieta, była nauczycielką literatury, siedzi skulona przy oknie i czyta sobie półgłosem romans Dickensa: „Dombey i syn." Chwilami przysiadają się do niej dwie albo trzy kobiety i przysłuchują się uważnie, acz

powątpiewam, czy rozumieją to, co słyszą. Wszystkie są strasznie wychudłe i wyschłe, ponure, zachmurzone i nieuprzejme. — Przystąpiłem do panny nauczycielki z zapytaniem, jak się jej romans podoba. Nieodpowiedziawszy ani słowa, zakryła twarz rękami i śmiała. Pogładziłem ją po włosach; delikatne miękkie jak aksamit, barwy ciemnozłotawej. Niknie biedaczka w oczach, na pamiątkę pozostały jej tylko te włosy. Nagle schwyciła moją rękę swymi kościstymi palcami, spojrzała na mnie z zaufaniem i zapytała miękkim, jakby dziecinnym głosem:

„Prawda, że już pójdę wkrótce do domu, do mateczki a potem do szkoły ku dzieciom?"

„Tak — za jakie dwa miesiące," powiedziałem pewnym głosem nie dodając jednak, że nie do domu do matki, nie ku dzieciom do szkoły, ale w dół pod ziemię.

Uśmiechnęła się wdzięcznie a wybladłe jej oczy zapałały na chwilę od dawna już zagasłym ogniem. Potem skłoniła głowę i czytała dalej spokojnie romans: „Dombey i syn." Oblicze jej woskowe żółte; małe, delikatne ręce, na które patrzę pod światło, są przejrzyste, jak gdyby w nich były tylko błoną pokryte kości. Długie i wązkie paznokcie niebiesko-zielonawej barwy są starannie wyczyszczone i okrągło przycięte. Na całem ciele, na ubraniu, niema nigdzie plameczki — staranna i czysta, przewraca kartkę i uśmiecha się łagodnie. Uśmiech ten błąkał się po jej głębokich zmarszczkach jak skowronek na wiosnę w szeroko rozoranych brózdach. Spostrzegłem, że czyta o wiele szybciej i skrzętniej..... Jakoby przeczuwała, że już nie skończy romansu.

* * *

8 listopada o północy.

Przez tych kilka dni nie zaszło nic nowego oprócz tego, że się przeniosłem ze swym skromnym dobytkiem. Prawie cały dzień spędzam w swoim pokoju, na korytarzu albo w ogrodzie. Dwa razy na tydzień wychodzę do miasta, lecz nie długo bawię. Mógłbym zostać w towarzystwie jak mi się długo podoba, lecz wszystko zaczyna mnie nudzić. Spróbowałem zajść popołudniu do kawiarni, ale i tam nie wytrzymałem. Gazety mam w zakładzie — więc cóż tam mogę znaleść? Chwilę przyglądałem się grającym w bilard i skonstatowałem ze szczególnem zadowoleniem, że nasz baron wszystkie te uderzenia razem wzięte z łatwością dałby jedną ręką. Nie wiem co to jest, lecz po za zakładem nie znajduję nigdzie upodobania, jestem roztargniony, spotykam znajomych i byłych towarzyszów z czasów studenckich i albo ich nie poznaję albo nie witam się z nimi i nie odpowiadam na ukłony. W Kosmonosach używałem spaceru w każdej wolnej chwili a co wieczór szedłem na partję taroka. Bawiliśmy się nieraz dobrze — grywał prymarjusz, tamtejszy właściciel dóbr i jego rządzca. Bywałem przecież wesół i chętnie pociągnąłem dobrego piwa. Prymarjusz odchodził zazwyczaj o jedenastej godzinie, gdy ja przeciągałem częstokroć zabawę do drugiej po północy. Gdyby mi się tak uśmiechnęło szczęście — myślałem sobie nieraz — gdybym został przeniesiony do Pragi, hola, toby dopiero było życie. Nuże, jestem tu, życzenie moje spełniło się nadspodziewanie prędko, a ja nie mogę poznać samego siebie. Zaproszony przez grono swych kolegów, namyślam się całą godzinę i wreszcie zostaję w domu. Jestem wśród tych murów zakładowych jak zaczarowany. Może mnie czeka jaka choroba — ale jaka? — Mam doskonały apetyt, usypiam zaledwie dotknąwszy się pościeli, cały dzień jestem świeży i żywy, jak ryba w wodzie. To, przecież nie są oznaki żadnej choroby. Notabene palę cały dzień z upodobaniem i bez ustanku. Po dłuższej rozwadze przypisałem to wszystko nagłej i niespodziewanej zmianie miejsca i służby, i nie myślałem o tem więcej.

Nauczycielka położyła się wczoraj do łóżka. Romansu nie skończyła i nie skończy, chociaż jak mi mówiła, pozostało jej zaledwie pięćdziesiąt stron. Jest tak słabą, że ledwie może rękę podnieść. Wychudła tak, że skóra na kościach policzkowych napięta zwiesza na dół ku ustom, tworząc dwa wielkie fałdy. Wargi tak zwężały, iż nie starczą nawet na pokrycie zębów, bielejących się wyraźnie. Białe, na końcach perłowo przeświecające. Zgaśnie wolno i cicho, jak dogorywająca świeca. Posiada zupełną świadomość, chwilami tylko skarży się, że nie widzi już przeciwległej ściany, na pościeli zaś widzi czarne punkty a o takich chorych powiada jeden stary lekarz, że koniec ich jest bliski.

„Tak więc nie wolno mi już czytać?" pytała się mnie słabiutkim głosem, podobnym do szeptu.

„Nie, aż po wyzdrowieniu."

„Bądź pan tedy łaskaw przeczytać mi kilka stron od końca, abym przynajmniej wiedziała, jak się to wszystko skończyło."

Wziąłem książkę do ręki i zacząłem czytać bodaj na piątej stronie od końca. Przewracam kartkę i widzę, że się jej oczy zamykają. Po chwili zasnęła. Zniżałem głos powoli, aby jej nagłem umilknięciem nie przebudzić, w końcu prawie szeptałem. Zauważyłem, że brwi jej są uderzająco wielkie i szerokie. Całe oblicze wychudło i zmniejszyło się, tylko te brwi zostały niezmienione, odznaczając się wyraźnie na bladem i wychudłem obliczu. Małe piórko, zatrzymawszy się na wardze poruszało się zwolna i słabo. Była to miara natężenia jej oddechu.

Wyszedłem z pokoju na palcach jak duch. Przy drzwiach stała „Kometa."

„Jak się ma panienka?" zaszeptała przytłumionym głosem.

„Dobrze — tylko nie przebudź jej swym krzykiem." Dziewczyna machnęła zaprzeczająco ręką, siadła przy stole i położyła obie ręce przed sobą, jak to czynią małe dzieci w szkole.

„Będę cicho, ani pary nie puszczę, przysięgam," upewniała mnie; z twarzy jej można było poznać, że mówiła to na serjo a z nawilgłych oczu wydzierała coś w rodzaju szczerego współczucia dla umierającej...

A dodatek z oddziału klasowego?

Jest pod mym dozorem prawie cały dzień. Przyprowadzili ją w godzinę po pierwszej wizycie. Weszła spłoszona i nieśmiała, rozglądając się bojaźliwie w koło siebie. Kroczyła po korytarzu, jakby idąc w ciemności. Do dziś dnia nie wiem i nie potrafię sobie wyjaśnić, dla czego jej postać uczyniła na mnie tak niezwyczajne wrażenie. Zatrzymałem się zdziwiony we drzwiach nie jak lekarz lecz jak profan, który przyszedł do zakładu z pierwszą wizytą...

Jestto jedynaczka bogatego młynarza. Jadący drogą do Młodego Bolesławia zauważy zapewne piękny, pięciopiętrowy młyn z częścią mieszkalną, podobny do małego zameczku. Dziewczyna około lat ośmnastu, smukłego i pięknego wzrostu. Ładna, dosyć żywa i wyrazista twarz skropiona, jak drobnym, majowym deszczykiem, śladami po ospie. Oblicze o regularnych rysach nie jest jedwabisto miękkie, delikatne, robi raczej wrażenie wyciosanego z piaskowca. Za miernymi, prawie niewidzialnymi brzegami dołków ciągnie się słaby ślad cieniu, podobny do nieznacznych nagromadzeń śniegu przy kamieniach w czasie mroźnej zamieci. Nad oczami gubią się ślady dołków jak delikatne cieniowanie na białym papierze. Czarne i gęste włosy gładko uczesane a na ciemieniu przepasane niebieską wstążką. Ciemne jej oczy posiadają niebieskawy odcień, nadający czasami ognistemu ich wejrzeniu marzący i zadumany ton. Patrzę się na zapomnianą u siebie fotografję i zdaje mi się, że widzę jej oczy.

Późno już — trzecia godzina po północy, skręciłem sobie papierosa i przechadzam się bezmyślnie po pokoju. Obok mnie drzemie to nieszczęśliwe dziecko, którego smutny los tak głęboko mnie przejmuje. Zatrzymałem się przy ścianie — przychodzi mi na myśl, że usłyszę może jej oddech...

W tem zapukał ktoś cicho do drzwi.

Otwieram. Dozorczyni oznajmia półszeptem śmierć nauczycielki.

Poszedłem spojrzeć na nią. Śmierć wyprowadziła duszę z jej ciała delikatnie i cicho podczas snu. Jej śnieżno-białe, prawie całkiem odsłonięte zęby, zdawały się mówić: „Tak czysta była jej dusza." Zakryłem ją prześcieradłem i poszedłem spać.

Była czwarta godzina rano.

* * *

Ze zwłok nauczycielki wyglądało coś niedokończonego. Zajrzawszy do kartki legitymacyjnej własnym nie chciałem wierzyć oczom przeczytawszy, że miała dopiero dwadzieścia sześć lat. Mimo woli przypomniałem sobie romans „Dombey i syn," którego nie doczytała i porównałem go z jej życiem, które nie doczekało się lepszych a jaśniejszych chwil. Za kilka godzin wyciągnęły się zwłoki jak struna i schudły jeszcze bardziej. Oblicze pożółkło i tak zmalało jak główka pięcioletniego dziewczątka. Kiedy przyszedłem do niej rano, była już ubrana w czarną, atłasową suknię. Nie miała jej na sobie od sześciu czy też ośmiu lat. Była na nią wielka i wolna — trzy takie ciała byłyby sie w jej suknię zmieściły. Jakże inaczej wyglądała, przyszedłszy do zakładu!...

Zwłoki budzą zawsze u innych chorych przerażenie. Ludziom tym, mającym o sobie niezachwiane przekonanie, iż są całkiem zdrowi, nie mieści się w głowie, jak w zakładzie może ktokolwiek umrzeć. Przeraża ich niejasne i mgliste przeczucie podobnego losu. W chwili tej jak błyskawica przebiega przez ich głowę myśl, że już więcej stąd nie wyjdą, i że równie na jednem z tych łóżek umrą. Przed odniesieniem zwłok do trupiarni, musieli wszyscy chorzy powchodzić do swych cel. Wiedzą wszyscy, co się stało, lecz mimo to nie jest rzeczą dobrą pokazywać im trupa jakby mówiąc: „I ciebie także, wszystkich was, kiedyś tak wyniosą."

Było prawie w pół do dziesiątej, właśnie przed samą wizytą.

W całym zakładzie nikt nie wiedział o zgonie i wogóle, aby szczerze powiedzieć, nikt na to nawet uwagi nie zwracał. Tak to jest w szpitalu; kto przyjdzie do szpitala — „ma prawo umrzeć tam." Z nieboszczykami zakładowymi nie robi się wiele hałasu, a o jakichś ceremonjach pogrzebowych niema na-

wet mowy. Nieraz umrze chory o piątej godzinie rano, za godzinę wyniosą go do trupiarni a chorzy pytają się rano przy śniadaniu, gdzie się podział ten a ten.

„Poszedł do domu,“ odpowiada dozorca i rzecz załatwiona. Na trzeci dzień rano wywiozą go prawie o świcie; w zakładzie jest mniej o jednego człowieka, i oprócz kilku ludzi, którym nigdy przez myśl nie przejdzie mówić o tem, nikt ubytku nawet nie zauważy. Jestto tak samo jak kiedy kamień obsunie się w nocy z brzegu do stawu. Nie obudzi nawet ptaka, śpiącego na niedalekiej gałęzi. — Tem także należy wyjaśnić następujące zdarzenie, o którem do śmierci nie zapomnę.

Zwłoki pozostały na łóżku dla tego, żeby je dyrektor mógł obejrzeć. Spodziewam się, że lada chwila nadejdzie. W tem otwierają się zwolna drzwi i wchodzi do mego pokoju dość biednie ubrana małomieszczanka. Stare jej ubranie pamięta dobre pół wieku. W rękach trzyma koszyk, z którego wyzierają ciemno-niebieskie grona i wielkie jabłka. Uśmiecha się dla ukrycia swego zakłopotania. Jestto jedna z rzadkich staruszek o białych włosach i rumianych policzkach. Z całej powierzchowności wyziera ubóstwo, trzymające się usilnie na granicy biedy i nędzy. Na dworze chłodno, prawie zimno, a biedna staruszka ma na rękach tylko niciane rękawiczki — ale zawsze można powiedzieć, że przyszła w rękawiczkach. Poprosiłem aby siadła i zapytałem o przyczynę wizyty.

„Przyszłam odwiedzić córkę, panie doktorze, i przyniosłam jej trochę owoców. Proboszcz lubił ją bardzo i zawsze o niej pamięta. Wiedząc, że lubi owoce, wybrał, co miał najlepszego, dał mi jeszcze na drogę i powiedział: „Idź ją pani znowu odwiedzić i powiedz, że ją serdecznie pozdrawiam i że się za nią codzień modlę, aby Bóg o niej nie zapomniał.“ Całe miasto zbiegło się słysząc, że pojadę do zakładu. Już sama niepamiętam, kto jej przesyła miłe i serdeczne pozdrowienie i życzenie, żeby co prędzej wyzdrowiała. Przyszły i dzieci prosząc, abym nie zapomniała powiedzieć tego a tego. Może Bóg się zmiłuje i wróci jej zdrowie.“

Słuchałem z przyjemnością miłego, serdecznego głosu staruszki.

„Jak się nazywa córka pani?“

Usłyszane nazwisko o mało mnie nie zamroczyło.

Nauczycielkę przyszła odwiedzić jej — matka.

Dużo upłynęło czasu zanim się na tyle opamiętałem, aby módz coś powiedzieć. Ciężkie czekało mnie zadanie uwiadomienia matki o nieszczęściu, jakie ją dotknęło.

Wziąłem ją za rękę mówiąc:

„Chodźmy ją odwiedzić — lecz nie przestraszaj się pani — jest ciężko chora.“

Staruszka zbladła jak płachta.

„Wszechmocny Boże — a czy to niebezpieczne?“ zawołała, drżąc na całem ciele.

Potwierdziłem głową. Koszyk wypadł z rąk staruszki. Jabłka, orzechy i gruszki rozsypały się po wszystkich kątach. Biedaczka załamała ręce i zaszlochała przejmująco.

„Biedaczka moja, moja dobra, poczciwa Emilka, — ciężko choruje — ale przecież może z tego wyjdzie?“

„Matko, z trudnością — powątpiewam.“

Utkwiła we mnie swe szeroko rozwarte oczy.

„Pan coś tai przedemną — czytam to w pańskiej twarzy — Emila może nawet — już — nie żywa...“

„Tak, umarła o trzeciej godzinie rano.“

Na wpół martwą zaprowadziłem do dziecka. Stoję zdaleka i patrzę, jak straszny ból miota wątłą postacią staruszki.

(D. c. n.).

„CZŁOWIEK-ZWIERZĘ“

przez Jerzego Brandesa.

(Dokończenie).

VI.

Najbardziej uznania godną zasługą tych wielkich zagranicznych poetów i pisarzy jest to, że przed oczyma naszymi istotę ludzką na kształt wachlarza roztaczają. Nie istnieje nic, o czemby z obawy przed publicznością zamilczeli lub kłamali. Występek i prostactwo, upadek i zbrodnia otworzyły nowe horyzonty duchowego życia, pozwoliły wejrzeć w głąb natury ludzkiej i dopatrzeć się pod grubemi warstwami zwierzęcości — prawdziwego człowieka. A wszystko to, czem tak skwapliwie dzielą się z czytelnikami, piszą z podziwienia godną swobodą, bez żadnych ozdóbek, bez sentymentalnego zakroju. Wszyscy używają tego swobodnego języka, by dać wyraz bogactwu i nędzy naszego życia, idei rozdziału naszej istoty na dwa światy, świadomy i nieświadomy, który w poetycznem wyrażeniu nowszych czasów utożsamił się z pojęciem człowieka i zwierzęcia w człowieku, konieczności i wolności, jak mówiono w dawnych czasach.

Nauka nowoczesna nie wierzy więcej w wolność woli, w tem znaczeniu, jak to ją dawniej rozumiano. Niektórzy pisarze upatrują w tem nawet groźne niebezpieczeństwo. Szczególnie Bourgeta zastrasza wpływ filozoficznego determinizmu na młodzież, jako rzekomo ją mający uprawniać do bezwzględnego egoizmu. Bourget się obawia, że właśnie najwyższy rozwój nauk, że właśnie cywilizacya zdolna jest rozkiełznać bestyę w człowieku i w ostatnich swoich utworach („Mensonge,“ „Le disciple“) nie bez wyraźnych aluzyj zdaje się wskazywać na religię i modlitwę, jako na jedyną potęgę, zdolną człowieka do dawnej sprowadzić jedności. Dumas, który jest zanadto Francuzem, by zwątpić w wolność woli, upatruje rozwój bestyi w człowieku — w bagnie fałszywej cywilizacyi i tem się tłumaczy jego głos upomnienia.

Moralista Tołstoj i światowiec Maupassant rozważają z równą niechęcią wzajemny stosunek obojga płci, który im się uchybieniem ludzkiej godności wydaje; poecie frankońskiemu, jako poniżający, niepokonalny i nieuchronny akt pierwotnej natury, rossyjskiemu natomiast jako wytwór obecnej, fałszywej cywilizacyi. Zola wreszcie jest na wskroś deterministą, u którego człowiek-roślina, człowiek-zwierzę, myśl i wola ludzka stałym, niezmiennym podlegają prawom; znajduje on natomiast w zamian dziwną satysfakcyę w wyposażaniu tworów martwych w samodzielne życie i wolę. Ludzką, prawdziwie ludzką jest tylko maszyna, zdaje się mówić Zola w swojej ostatniej powieści. Ludzką, prawdziwie ludzką jest tylko cywilizacya, zdaje się mówić Maupassant w swym ostatnim zbiorze, ona w nas bowiem przytępia i niszczy wszystko, co jest bestyą i zwierzęciem. Ludzkiem, prawdziwie ludzkiem, w języku dawniejszych czasów boskiem, jest tylko pobożne skupienie ducha i modlitwa, zdaje się mówić Bourget w swych dwóch ostatnich utworach. Ludzkiem — nie jest rozwój człowieka, mówi Tołstoj w swoich ostatnich dziełach, lecz ów prosty życia sposób, co biernie poddaje się wyrządzonym sobie krzywdom, co nie wie, co to znaczy pomścić zło doznane, który nie dba o doczesne dobra, a kobietę i mężczyznę do tego doprowadza, że widzą w sobie nawzajem tylko brata i siostrę.

Oto jest mowa, która rozbrzmiewa z ust mędrców dzisiejszej doby, ludzi, którzy przed najwykształceńszą i najdoborowszą publicznością występują.

Gdyby dziś z swych prochów powstał Helleńczyk z dawnych czasów Grecyi i tego rodzaju posłyszał wyrzeczenia, pewnoby do nieba wzniósł swoje ręce z zadziwu i zadumy.

POKŁOSIE LITERACKIE.

„W cieniu i w słońcu,“ obrazki przez Sewera. Warszawa 1893. Nakład. T. Paprockiego i Spki.

Chwila bieżąca rodzi publicystów, a dopiero samotność, odsunięcie się na czas pewien od ludzi, przygarnięcie się do przyrody przywracają pełną równowagę artystycznej twórczości.

Zrozumiał to wybornie Sewer, którego świeży zbiór nowel: W cieniu i w słońcu tylko co ukazał się na rynku księgarskim. I on przed dwudziestu laty spróbował dziennikarskiego chleba, wnet atoli spostrzegł, iż nie pożywi się nim na dalszą metę. Rzucił tedy pisanie obowiązkowe z dnia na dzień, zawsze z celem ściśle utylitarnym, zawsze w rozmiarach, podyktowanych przez względy na technikę gazety, rzucił miasto i ruszył na wieś. Pierwsze jego utwory beletrystyczne nosiły jeszcze na czole piętno dziennikarskiej roboty, nikt bowiem odrazu nie zdoła zaprzeć się przeszłości, ani pozbyć nawyknień, nałogów, przyzwyczajeń. Lecz zwolna ustępowały one miejsca nowym, lepszym. I jak w owym średniego wzrostu mężczyźnie, o twarzy ściągłej, spalonej, o wąsie siwym, krótko przyciętym, o ruchach żywych, energicznych nikt nie domyśliłby się zawodowego pisarza, tak samo również w jego nowszych powieściach i nowelach zniknęły wszelkie ślady dawniejszej, pośpiesznej, dziennikarskiej metody. W bezpośrednich odtąd stosunkach z pięknościami wiejskiej przyrody, z typami oryginalnemi wśród ludu, wśród „łyków“ małomiejskich, wśród obywateli, z wybuchami namiętności prawdziwych, strasznych swą grozą, a pierwotnych, czego w mieście, przygłuszającem wszystko i równającem wszystko swoim szablonem i swojemi konwenansami nigdy nie ujrzysz, Sewer pisał na podobieństwo malarzy, hołdujących zasadom plein air'u. Podobnie, jak oni pod gołem niebem rozkładają swoje sztalugi i malują w świetle, nieprzepuszczanem przez szyby okien albo dachu szklanego, tak też i Sewer przenosił na papier typy, krajobrazy, uczucia, wyrażenia, błyski temperamentów, burze, sceny z życia ludzi i życia przyrody, zbierane zwolna w codziennych wędrówkach po wsi, po okolicy, po dworach, po miasteczkach, na chrzcinach i weselach, na jarmarkach i targowiskach. W jego dzisiejszych utworach niema prawie ani jednej

postaci, ani jednego pomysłu, ani jednego opisu, od którego zalatywałaby woń „papieru,“ w którym byłoby znać naśladownictwo. nawet mimowolne, typów, pomysłów, porównań już gdzieś, niegdyś wypowiedzianych, pochwalonych i dla tego krążących w piśmiennictwie pięknem, jako moneta obiegowa, używana przez niemogących zdobyć się na szczerozłoty kruszec własnego stempla.

Najlepszym według mnie probierzem istotnych zdolności pisarza, szczerości jego spostrzeżeń, daru słowa i obrazowania, jest sposób, w jaki on umie odmalować krajobraz. W tym razie łatwo poznać, czy wychodzi na nasze spotkanie umysł samodzielny, uzbrojony okiem artystycznem i sercem niezwyczajnem, czy też jedynie sztukmistrz, umiejący zręcznie przeżuwać pracę innych. Otóż Sewer właśnie może tutaj posłużyć za wzór. Ma on w sobie dużo liryki, dużo poczucia piękna, a równocześnie umie w opisach unikać niepotrzebnej rozwlekłości. Jego noce, wschody i zachody słońca, jego opisy: borów, ścieżek, łąk, pól są krótkie, lecz dosadne, pióro potrafi zawsze znaleźć właściwy przymiotnik, orzeczenie plastyczne, porównanie, od razu rzecz wypuklające. A przytem nie powtarza się, nie zachwyca samym sobą i nie naśladuje siebie samego. Wie doskonale, że szata przyrody, pomimo jednostajności pozornej, zawsze bywa odmienną, a więc i odmiennych barw należy dobywać przy jej opisywaniu. To samo i z życiem ludzi: treściwość, dosadność, prawda. Wie on wybornie, jakie oznaki zewnętrzne towarzyszą wewnętrznym drganiom ducha, często zatem maluje pierwsze, aby oznaczyć drugie. Zyskuje na tem forma; utwór nie przestając być rzetelnym odłamem rzeczywistości, jest ciągle artystycznym i niema nic wspólnego z psychologicznemi raptularzami, których teraz wciąż więcej przemytniczemi szlaki zakrada się do piśmiennictwa pięknego.

Ale nie myślcie, że Sewer umie tylko wieś odtwarzać. Jako dawny mieszczuch, porusza się zupełnie gładko i między kamienicami miejskiemi. Udowodnił to w obrazku „malowanym w słońcu“ p. n. Konkurs. Jakież to przepyszne postacie: ów malarz, szukający modelu, jego sługus stary, który wycierając się zawsze po pracowniach, zwolna sam nabrał przyzwyczajeń artystycznego cygana, tudzież wyrobił w sobie smak artystyczny, owa szwaczka, która pozuje „nieco odsłoniona,“ otumaniona przez starego na poły kazaniem o potrzebie poświęcenia się dla sztuki, na poły nadzieją zamążpójścia za artystę! Sewer w owym obrazku uchwycił jedną stronę z życia dzisiejszego Krakowa: dogodne warunki tego miasta dla rozwoju licznej kolonii malarskiej. Istotnie drugiego pod owym względem grodu nieprędko zdołałbyś znaleźć. Okolice prześliczne, urozmaicone, wabiące oko to wyżynami, to lasami, to zwaliskami, pełne niespodzianek, pełne pokus dla malarzy; miasto samo obfituje w gmachy, domy, ulice, place, zgoła odmienne od kamienic, ulic i placów, widywanych dzisiaj. Przypominają ci się wieki średnie, miasto, otoczone obręczą murów, klasztory, będące zarazem fortecami, domy, mogące każdej chwili zabarykadować swe małe, nizkie bramki; przypominają ci się biskupi w zbrojach, mieszczki rumiane, wesołe, śmiejące się, żaki czupurne i hałaśliwe. Wszystko to podnieca fantazyę, kształci smak, urozmaica myśli. Gdy ręka się znuży, artysta rzuca pendzel, wybiega z pracowni, pociąga z sobą tego i owego z towarzyszów, i wesoła gromada, śmiejąca się, głośna, witana życzliwemi skinieniami znajomych, ścigana ukradkiem tęsknemi spojrzeniami młodych panien, biegnie w okolicę. Tam się dopiero rozpoczynają spory o realizmie i idealizmie, o światłocieniu, o technice tego lub owego z mistrzów; tam się roztrząsa pomysły, wybiera miejsca, które wartoby odmalować, wyszukuje się miejskich typów, godnych pendzla.

A. N.

„Ze szkoły i z domu,“ nowele dla rodziców i nauczycieli przez Edmunda de Amicisa. Warszawa. Nakład T. Paprockiego i Spki. 1893.

Szczery miłośnik i przyjaciel młodego pokolenia, głęboki badacz dziecięcych serc i umysłów oraz gorący a niestrudzony szermierz, niejednokrotnie już zwycięzkie kruszący kopie w obronie najsłuszniejszych praw ludowego nauczycielstwa — znany publicysta włoski: Edmund de Amicis — złożył obecnie w dziełku p. t.: „Ze szkoły i domu“ nowy dowód szlachetnych swych uczuć i wielce doniosłego zamiaru w prowadzdnia na tory bardziej postępowe i bardziej odpowiadające celowi stosowanej w nauce szkolnej: psychologii, pedagogii i higieny. Wdzięczną formą nowel i opowiadań osłonić on umiał niejedną gorzką w twarz społeczeństwu rzuconą uwagę, niejedną nużącą, choć nader zbawienną i pożyteczną naukę, niejedno pełne kłującej ironii wyzwanie. To też z prawdziwem zajęciem czyta się książkę tę, która ludziom, zdala od dziatwy i szkoły stojącym tyle nowych a nieznanych szczegółów odsłania, zaś rodzicom i nauczycielom żywo przywodzi na pamięć trosk własnych i zabiegów obraz a przytem mnóstwo pozwala dostrzedz takich stron i momentów w duszach maleńkich istot, których rozpoznanie i utrwalenie wielką nieraz przysługę wychowaniu oddać jest w możności.

Dzikie instynkta (atawizmem jedynie dające się chyba wytłumaczyć) złośliwości, przekory, uporu, lenistwa, zawiści, zemsty, zazdrości itp. objawiające się tak pospolicie jako cechy charakterystyczne usposobień dziecięcych, a z któremi to wadami, ułomnościami, ba! nierzadko nawet skłonnościami zbrodniczemi — więcej niż dom — szkoła walczyć musi — maluje Amicis tak silnemi barwami, że mimowoli nasuwa się powątpiewanie, ażali droga, dotąd w ludowem nauczaniu praktykowana, wystarczającą jest i odpowiednią. Odpowiedź na tak postawioną kwestyę z łatwością między wierszami dziełka znajdujemy — a jest nią dobitnie słowo „nie“ — silny i wymowny protest przeciwko upartym zdaniom tych wszystkich co, bezpośrednio nie dotknąwszy się rany społecznej, półśrodkami, ostrożnie i bojaźliwie działać w kierunku publicznego wychowania pragną. Dosyć jest przeczytać takie, mistrzowską ręką znakomitego pisarza nakreślone obrazki jak n. p. „Księgarz szkolny“, Dramat w szkole“ lub „Nauczycielka robotników,“ aby rozgrzać świętym ogniem litości dla wielu, bardzo wielu, niestety! istot, najgorsze zdradzających na dalsze życie skłonności — a zarazem aby wzbudzić w sobie niczem niepohamowaną chęć wytężenia wszystkich sił w celu usunięcia przyczyn tego, co w niewinne dusze tak złowrogie ziarno zasiewa. Po przeczytaniu — tych nowelek a właściwie mówiąc — po wniknięciu w myśl autora, zaledwie że dotkniętą tu i owdzie z lekka, dochodzimy do przekonania, iż dopóki szkoła ludowa, trudem i krwawym mozołem starszych pokoleń w zupełności przerobić nie zdoła, dotąd trud ten i mozoł nieodstępnymi będą w jej działalności dydaktycznej przez swe trudne do przeprowadzenia pedagogiczne pierwiastki —że wpływ domu, rodziców i najbliższego krewnych otoczenia, jako pierwotniejszy i na fizyologicznych danych oparty, stokrotnie silniejszym jest od wszystkiego, czego dokonać może choćby i najszlachetniejszy nauczyciel, że wreszcie etyczne pojęcia to nie nabyte, ale raczej wrodzone, w duszę człowieka z krwią przodków wszczepione własności, z któremi walka długą być musi a nie zawsze zwycięską! Pokolenia przejdą, zanim to, co dziś jako ideał dzieciom szkoła ukazuje, stanie się bliskiem urzeczywistnienia — zanim przejdzie w własność organiczną — że się tak wyrażę — ludzi, dziś po raz pierwszy ze skarbnicy prawdy czerpiących.

A przecież, pomimo tak doskonałej znajomości najskrytszych tajników serc i umysłów dziecięcych — kocha Amicis te drobne, wątłe, i najczęściej nieszczęśliwe stworzenia. O tak! Kocha on je bardzo, czule i serdecznie, pieszczotliwie i rozumnie. — Wszelkiego dobra, szczęścia, i rozkoszy pragnie on dla nich — a swobody i zdrowia przysporzyć im wszelkimi sposoby się stara. — To też kreśli prześliczną nowelkę „Miłość i gimnastyka“ w której z pod przezroczej sukienki niezawikłanego w intrygi romansu, występuje na jaw cały zasób przeróżnych broni, któremi walczy ten niestrudzony obrońca małoletnich w imię rozwoju ciała swych protegowanych. „Gimnastyka więc i tylko gimnastyka!“ woła z zapałem Amicis — „ze skarłowaciałych ciałem i umysłem dzieci naszych zrobić może pod każdym względem dzielnych w przyszłości obywateli kraju.“

Wielkie słowa, które oby i u nas wszystkich wychowańców przeniknęły na wskróś i podobne upragnionym przez Amicisa wydały owoce.

A za tą maksymą drugie idzie włoskiego publicysty hasło: „Precz z przeciążeniem,“ którego rozwinięciu ostatni poświęca obrazek.

Prawdziwie, książka ta tak doniosłe spełnia obywatelsko-pedagogiczne zadanie, że obowiązkiem jest każdego inteligentnego człowieka zapoznać się z nią dokładnie. Polecamy ją więc jaknajszerszym kołom publiczności z przeświadczeniem, że wiele dobrego wśród nas zdziałać może.

Marya T. Błotnicka.

Sztuka prowadzenia sporów, przez A. Schopenhauera. Tłómaczył Jan Lorentowicz. — Warszawa. Nakład T. Paprockiego i Ski. 1893.

Redakcyi warszawskiego „Głosu“ i ruchliwej księgarni warszawskiej T. Paprockiego i Ski. zawdzięczamy przyswojenie naszej literaturze dwóch prac Schopenhauera, głośnego filozofa-pesymisty, właściwiej zaś jednej pracy o Schopenhauerze (Filozofia Schopenhauera przez T. Ribota, spolszczył I. K. Potocki) i drugiej, której tytuł wypisaliśmy w nagłówku. Sztuka

prowadzenia sporów, czyli „dyalektyka erystyczna“ jest „kunsztem“ dyalogowania w taki sposób, aby zawsze mieć racyę per fas et nefas. „Prawda spornej kwestyi — powiada filozof — brana objektywnie a siła racyi w oczach dysputujących i słuchaczy to rzeczy zgoła odmienne; dyalektyka opiera się na tej ostatniej.“ Każda teza może być zwalczaną dwoma sposoby: argumentami ad rem i ad hominem.

W pierwszym przypadku usiłujemy obalić objektywną prawdę tezy, w drugim zaś jedynie względną prawdę, dowodząc że ona sprzeciwia się innym twierdzeniom przeciwnika. Skreśliwszy t. zw. podstawy dyalektyki, t. j.: postępowanie drogą prostą lub pośrednią, instancyę, apagogę itd., Schopenhauer daje nam szereg przykładów t. zw. wybiegów dyalektycznych. Praca to bardzo ciekawa i może oddać duże usługi tym, którzy, nie zaopatrzeni w odpowiedni zasób argumentacyi, pragną, mimo to zawsze na swojem postawić.

MISCELANEA.

Literatura.

⁎ Adama Mickiewicza nowo-odszukane utwory. — W bieżącym miesiącu jeden z członków rodziny wielkiego poety odszukał na Litwie nowe utwory i dokumenta, odnoszące się do Mickiewicza. Przedewszystkiem dwa poemata, z których „Kartofla“, opisujący odkrycie Ameryki przez Kolumba, znany jest publiczności ze słychu (z „Listów“ Odyńca w pierwszej linii, oraz Pamiętnika I, 121). Zachowało się z niego, jak to dotąd było z tradycyi wiadomo (bo z badaczy literatury nikt go jeszcze nie miał w ręku) kilkaset wierszy introdukcyi. Poemat drugi, podobno humorystyczny, noszący tytuł *Mieszko*, jest o tyle ciekawy dla poznania rozwoju poety, że pochodzi z najwcześniejszych lat jego twórczości, z epoki, kiedy się jeszcze Mickiewicz Wolterem i Florianowskim „Gonzalwem“ zachwycał, z czasów jego pseudoklasycznych „Uwag nad Jagiellonidą“. Podobnie, jak w nieco późniejszej balladzie o „Zaklętym rycerzu“, którego uwalnia Twardowski (*Dziady*, Cz. I. fragmenta) występuje i tutaj ów mniemany protoplasta rodu Mickiewiczów Poraj, rycerz silnej ręki:

A mieszkał w owym zamku Poraj, rycerz stary,
Co jeszcze za Olgierda gromił Ruskie Cary...

To, co z poematu powyższego pozostało, liczy mniej więcej 500 wierszy.

Nie mniej ważne są papiery z XVII w., odnoszące się do rodziny poety; zwłaszcza niemały interes przedstawiają akta sporu granicznego z Zaosia między rodziną Mickiewiczów a.... Soplicami. Co za niespodziewany szczegół do genezy pomysłu *Pana Tadeusza*!

⁎ *„Kościuszko“*. Pod tym tytułem wychodzić zacznie w Krakowie z Nowym Rokiem pisemko cztery strony zwykłej, większej książkowej wielkości druku, ogłaszając nieznane albo mało znane wiadomości z życia Kościuszki. Dwanaście takich numerów od czasu do czasu w ciągu roku wydanych, złoży się na skromną skarbonkę niedrukowanych dotąd, bodaj najdrobniejszych notat rękopiśmiennych, odnoszących się do życia Kościuszki, listów jego własnoręcznych, lub do niego pisanych, albo wiarogodnych ich odpisów; nawet druków rzadkich, mało znanych; wskazówek z obcych pism, wreszcie pamiątek tu i owdzie w instrukcyach publicznych, lub w ręku prywatnem zachowanych — słowem, wszystkiego, co tylko odnosi się do świętej pamięci Kościuszki, z wyjątkiem rzeczy powszechnie znanych.

Skarbonka taka, jeżeli wspierać ją będzie powszechna cześć i pamięć cnót i zasług Kościuszki, mogłaby przynieść pożytek niemały tym, co zabierają się do pisania jego żywotu, doznają licznych trudności w odszukaniu materjałów i źródeł, lepszych i obfitszych, aniżeli te, na których dotychczasowi biografowie przestawali.

Redaktorem tego czasopisma będzie p. Ant. Kostecki.

⁎ Zasłużony dyrektor Zakładu Ossolińskich, Dr. Wojciech Kętrzyński, wydał świeżo w odbitce z „Teki konserwatorskiej“ zajmujący opis biblioteki hr. Wiktora Baworowskiego, mieszczącej się w jego własnym domu, w byłym arsenale Sieniawskich. Biblioteka ta posiada między innemi, bardzo bogaty zbiór rękopisów, dochodzących do liczby tysiąca tomów.

⁎ Wyszedł z pod prasy „Przeglądu Emigracyjnego“ Nr. 8 we Lwowie i zawiera: Z Brazylii, nap. Dr. I. Siemiradzki. — Polacy w Turcyi i krajach poztureckich, nap. A. S. Chołoniewski. — Kolonizacya na zasadzie współdzielczości, nap. Dr. Wiktor Ungar. — Emigracya ludu w Galicyi wschodniej, nap. K. — Interpelacya posła Sejmu gal. Stręka do Rządu w sprawie nadużyć przy wydawaniu włościanom paszportów. — Rozmaitości. Pismo to zasługuje na gorące poparcie szerokich kół, zajmujących się kwestyami społecznemi.

⁎ „Ekonomisty polskiego“ opuścił prasę zeszyt październikowy i zawiera: Państwo przyszłości, przez Dra Zofię Daszyńską. — O komasacyi, przez Ludwika Sobolewskiego. — Po ankiecie dla kolei lokalnych w Galicyi, przez inżyniera Waleryana Dzieślewskiego. — Ubezpieczenie bydła, przez Edmunda Piotrowskiego. — Przegląd finansowy, przez Dra Wilhelma Bindera. — Przegląd literacki: Ferd. Bostel: Żydzi ziemi lwowskiej i powiatu żydacz. w roku 1765. — E. Piotrowski: Ubezpieczenia na życie, ich rozwój i stan dzisiejszy. — Kronika „Ekonomisty polskiego“. — Warunki i sposób pozyskania patentu w Austryi, przez Dra Fryderyka Zolla.

⁎ Słynny autor hiszpański i profesor ekonomii na uniwersytecie madryckim dr. Józef Migalon napisał rozprawę p. t.: Armonia entre el capitale y entre el trabajo. (Harmonja pomiędzy kapitałem a pracą). Dzieło to po za granicami Hiszpanji zwróciło uwagę socjologów.

⁎ „Politik“, w ostatnim numerze (285) załącza dodatek p. t. Zwischen Lipp, und Kelchesrand. Jest to romans napisany przez p. Marję Rodziewicz p. t. Między ustami a brzegiem puharu, tłumaczony na język niemiecki przez p. Herm. Loewenthal (Alfred d' Olzany). O ile wnosić można z pierwszego arkusza, tłumacz zna wybornie język polski i zwroty naszego języka oddaje wdzięcznie w swym rodzinnym.

⁎ Pani Karolina Embden, 92-letnia siostra Henryka Heinego, mieszkająca w Hamburgu, postanowiła wydać w druku 122 listów poety, po większej części pisanych do niej i do matki, jakoteż te wspomnienia i wyjaśnienia, które według jej mniemania uzupełnią biografię Heinego. Wydaniem zajmie się syn staruszki, baron Ludwik Embden. W listach znajdować się ma mnóstwo szczegółów, o których Heine przemilczał w pismach swoich, przeznaczonych dla publiczności. Wiele też rysów charakterystycznych przybędzie do sylwetki żony poety, słynnej „Frau Mathilde“. Listy zaczynają się od wczesnej młodości autora „Buch der Lieder“, a ciągną się prawie aż do dni jego ostatnich. Niektóre dokumenty rzucą światło na ważniejsze wypadki po śmierci poety, dotyczące jego pamięci. Do książki dołączone zostaną portrety Heinego, jego siostry pani Karoliny, żony Matyldy i fotografia pomnika, postawionego przez cesarzową austryacką na wyspie Korfu.

⁎ W Londynie w połowie przyszłego miesiąca ukaże się u Heinemanna przekład „Bez dogmatu“. Ta sama firma wydawnicza zapowiada na rok przyszły „Antologię nowoczesnych poetów polskich“.

⁎ Czasopismo literackie czeskie „Thalia“ omawia w ostatnim zeszycie, drukowane w „Czasie“ studyum p. Stanisława Estreichera p. t.: Szekspir w Polsce XVIII wieku.

⁎ P. Dyonizy Zaleski, zamieszkały w Paryżu (Boulevard de Montparnasse 135), zamierza ogłosić drukiem korespondencyę ojca swego Bohdana. Zwraca się on przeto do rodaków, którzy są w posiadaniu listów poety, z prośbą aby mu ich w tym celu udzielić zechcieli.

⁎ P. Kaz. Bartoszewicz pracuje nad obszernem studyum: „O żydach w Galicyi“.

⁎ Nakładem firmy Gebetnera i Wolfa wychodzi pożyteczne wydawnictwo p. t. „Teatr Amatorski“. Obecnie ukazały się następujące nowe utwory dramatyczne, kwalifikujące się do wystawiania w teatrach amatorskich: „Dyament nieoszlifowany“, fraszka przerobiona, z niemieckiego przez p. Antoninę Hoffmann, krakowską artystkę dramatyczną: „Przez zazdrość“, komedya Alfreda de Musset: „Dwie wdowy“, komedya przez Felicyana Mallefile'a; „Wdówka“, komedya Delacour'a i Thibaut'a; „Przysługa“, komedya z francuskiego; „Pomyłka pana Lambinet'a“, komedya H. Meilhac'a i Ludwika Halévego; „Dwaj nieśmiali“; komedya Alarc... Michel'a i Eugeniusza Labiche'a; wreszcie komedya oryginalna p. Kazimierza Zalewskiego „Wycieczka za granicę“. Wszystkie te utwory są jednoaktowe.

⁎ „Allgemeine Kunst-Chronik“, znany dwutygodnik wiedeński, poświęcony sprawom sztuki i literatury, zamieszcza w ostatnim numerze obszerną ocenę polskich przedstawień operowych na wystawie wiedeńskiej, pióra M. Dietza. Krytyk niemiecki wyraża się bardzo pochlebnie o przedstawianych we Wiedniu utworach: zarzuca jedynie Moniuszce w „Strasznym Dworze“ wyraźne naśladowanie Donizettiego, a Kurpińskiemu w „Krakowiakach i góralach“ zupełne poddanie się wpływowi współczesnych sobie muzyków. Natomiast z prawdziwem uznaniem ocenia p. Dietz „Halkę“, którą, jako dzieło pierwszorzędnej miary, stawia obok utworów Smetany i Glinki, widząc w niej owoc prawdziwego geniuszu, pełen oryginalności, mistrzowstwa i siły. Libretto Halki zalicza krytyk do udatniejszych tekstów operowych, zarzucając mu tylko zbytnią rozwlekłość akcyi, nie wystarczającej na cztery akta. Krotochwila Kamińskiego, przedstawiająca życie górali i krakowiaków, jest — zdaniem p. Dietza — utworem scenicznym, pełnym werwy obrazem z życia ludowego. Zwłaszcza spodobały się krytykowi charakterystyczne tańce góralskie.

Również pochlebnie wyraża się p. D. o wykonaniu polskich przedstawień przez personal lwowski, któremu wprawdzie zbywa na pierwszorzędnych siłach wokalnych, ale nie brak umiejętnego kierownictwa i udatnego ensemble'u. Szczególne pochwały zaskarbił sobie naturalnie p. Myszuga w partyi Jontka. — Mniej korzystnie wypadł sąd krytyka „Kunst-Chronik“ o występie Reszkego, któremu p. D. zarzuca wielce niefortunny wybór koncertowych utworów.

Błahości spiewanych pieśni nie wynagradza w jego oczach potężny głos śpiewaka. Jedynie „Kozak“ Moniuszki, odśpiewany przez Reszke'go zadowolnił wymagania surowego, jak widzimy, ale sprawiedliwego i nieuprzedzonego krytyka.

W tymże numerze czasopisma wiedeńskiego, jedynego, które sztuką polską rzetelnie się zajmuje, znajdujemy artykuł p. Ignacego Suessera o obrazach, znajdujących się na wystawie krakowskiej. Między innemi na pierwszem miejscu stawia p. Suesser: Wodzinowskiego „Marzenia artysty“, Damazego „Szarą godzinę“, Gierymskiego, „Operę w Paryżu“ i Saskiego „Studya“. Artykuł napisany treściwie, daje Niemcom dobre pojęcie o stanie malarstwa u nas.

Teatr i muzyka.

*** W lwowskim teatrze hr. Skarbka wystawiono dramat E. Vossa pt. „Winny“ (Schuldig). Jestto rzecz głęboko pomyślana, a osnuta na tle położenia niewinnie zasądzonego po odsiedzeniu przezeń niezasłużonej kary. Rolę główną grał doskonale p. Chmieliński.

*** Sara Bernhard po występach gościnnych w Warszawie, gdzie grała „Damę Kameliową“, „Toskę“, „Frou-Frou“ i „Joannnę d' Arc udała się do Petersburga.

*** Eleonora Duze występuje obecnie na scenie wiedeńskiego teatru Karola.

*** Mira Heller wypowiedziała umowę dyrekcyi wiedeńskiej opery, z powodu niezbyt przychylnego przyjęcia, jakiego doznała ze strony krytyki po „Proroku“ jako Fides. Śpiewaczka nasza ma zamiar na czas jakiś wyjechać do Włoch i na tamtejszych scenach szukać powodzenia.

*** W paryskim teatrze Port-Saint-Martin wystawiono sztukę pp. Maryi i Griniera p. t. „Maitre d' armes“. Jestto dramat bulwarowy.

*** Verdi po napisaniu „Falstaff'a“, tworzy operę pn. „Don. Kiszot“.

*** W teatrze Wielkim w Warszawie wystawiono z powodzeniem operę Leoncavall'a pt. „Pajace“ (Il. Pajaccio“).

*** „Times“ pomieścił sylwetkę Zygmunta Noskowskiego, znanego muzyka, którego koncert kompozytorski odbędzie się wkrótce w Krakowie.

*** Teatra paryskie wystawią w tych czasach dwie nowości: pierwszą będzie polityczna komedja Arystofanesa p. t.: „Lizystrat“, w obrobieniu jednego z pisarzów francuskich, drugą opera Saint Saensa p. t.: „Samson i Dalila“, dawana już nieraz w Niemczech, niewidziana jednak dotąd na scenie francuskiej. Saint-Saens przerobił nieco swoje dzieło i wzbogacił nową muzyką baletową.

*** Ryszard Wagner zdobywa coraz szersze prawa obywatelstwa na scenach francuskich. Teatr „de la Monnaie“ w Brukseli zapowiada na grudzień b. r. wielką operę niemieckiego kompozytora, „Trystana i Izoldę“, w tłómaczeniu francuskiem.

*** W „Odeonie“ wystawiono dobrą komedyę Brien'a pt. „Monsieur de Réboral“.

*** W Genui ujrzała światło kinkietów opera Franschettiego pt.: „Krzysztof Kolumb“.

*** Aleksander Bandrowski, pierwszy tenor opery w Frankfurcie nad Menem, zaproszony przez wrocławskie Towarzystwo fisharmoniczne, wystąpił tamże w dniu 25 z. m. w wielkiem oratoryum O. Tinnela p. t. „Franciscus“ w partyi tytułowej. W sezonie zimowym Al. Bandrowski wystąpi w Medyolanie w teatrze la Scala.

*** „Lutnia“ krakowska zapowiada piękny koncert na 16 b. m. Próby pod sprężystym kierunkiem dyr. Steibelta prowadzone są nieustannie.

*** Loti debiutować ma jako autor dramatyczny. W zimie b. r. jeden z teatrów francuskich wystawić ma udramatyzowanego „Rybaka islandzkiego“ i operę komiczną Panią „Chrysantheme“ z muzyką Messagera.

*** Lola Beeth wystąpiła w Operze paryskiej jako Elsa w Lohengrinie.

*** P. Antoni Płachecki, profesor krakowskiego konserwatoryum muzycznego, wydał u Reichmana i Frendlera w Warszawie dwie kompozycye pod tyt. „Idylla“ i „Chant sans paroles“, Obydwa utwory odznaczają się piękną melodyą, łatwością układu i doskonałą faakturą.

*** W Burgu wystawiono dramat A. Willbrandta pt.: „Meister von Palmira“.

Malarstwo i rzeźba.

*** Akademia sztuk pięknych w Wiedniu obchodziła bardzo uroczyście dwóchsetną rocznicę swego założenia. W. Allg. Ztg. pomieściła z tego powodu artykuł, streszczający dwuwiekowe dzieje tej poważnej instytucyi i jej dodatni wpływ na rozwój sztuki niemieckiej w ogóle, a wiedeńskiej w szczególności. Autorem artykułu jest dr. A. Nossig.

*** Artysta malarz p. Władysław Podkowiński, kończy duży obraz: „Taniec szkieletów“.

*** P. Ludomir Benedyktowicz po dwuletniej przerwie wystąpił z nowem dziełem pędzla. Nowy obraz przedstawia prześliczny krajobraz tatrzański w oświetleniu słonecznem. Nowy obraz ten wystawiony został w salonach krakowskiego Koła a niebawem odesłany zostanie na wystawę w Sukiennicach.

*** Prof. E. Löffler obchodzić będzie w b. m. 40-tni jubileusz swej zasłużonej działalności artystycznej. Jubilata podejmować będzie ucztą krak. Koło literackie.

Społeczne i osobiste

*** Adolf Dygasiński, znany i ceniony literat i pedagog, jak donosi *Kuryer Warszawski*, wyjechał do gubernii wołyńskiej; pobyt jego wszakże nie potrwa zbyt długo, gdyż Dygasiński ma być powołany na kierownika osad rolnych w Królestwie Polskiem. Byłby to wybór ze wszech miar doskonały. Zasług i talentu bowiem Dygasińskiego na polu pedagogiki, opartej na metodzie poglądowej, nie można lepiej wyzyskać.

*** Zjazd księgarzy gal. odbyty we Lwowie, uchwalił założenie stowarzyszenia dla obrony interesów zawodowych.

*** W sprawie wolności prasy. Z inicyatywy prezesa lwowskiego Koła literacko-artystycznego dra Ludwika Kubali, odbyło się zebranie reprezentantów prasy peryodycznej w sprawie reformy ustawy prasowej. Zebranych powitał dr. Kubala, poczem oddał głos posłowi dr. Tadeuszowi Rutowskiemu, który w krótkich słowach przedstawił obecny stan tej sprawy w Izbie wiedeńskiej, zaznaczając nieprzychylne stanowisko rządu, zajęte wobec projektów reformacyjnych. Dr. Rutowski przemawiał jako reprezentant Koła w specyalnym subkomitecie prasowym i wzywał przedstawicieli prasy do wspólnej akcyi, mającej na celu popieranie żądań subkomitetu wobec rządu. Żądania te dotyczą zniesienia kaucyi i stempla (w okresie pięcioletnim, przejściowym), wolności kolportażu, ograniczenia postępowania przedmiotowego do pewnych, ściśle oznaczonych wypadków, w których konfiskata jest dozwoloną.

*** Z Towarzystwa im. „Stanisława Staszica“, otrzymujemy następujące pismo: Wybrany na walnem zgromadzeniu dnia 23 b. m. nowy wydział Towarzystwa zawiadamia Szanownych Członków i Delegatów tego Towarzystwa, iż w dniu dzisiejszym objął urzędowanie. Zanim biuro towarzystwa stanowczo zorganizowanem będzie, objął tymczasowo czynności sekretarza p. Tadeusz Dwernicki, zaś czynności skarbnika podjął się Dr. Michał Grek. — Przypominamy, że według §. 10. statutu, tylko pisma zaopatrzone podpisem prezesa lub wiceprezesa i sekretarza, pochodzą od wydziału; wszelkie zaś tymi podpisami niezaopatrzone pisma, dokumenta lub ogłoszenia, byłyby nieważne. — Upraszamy, ażeby wszelkie korespondencye i przesyłki pieniężne wysełano p. a. „Towarzystwo im. Stanisława Staszica we Lwowie“. — Szanowni Członkowie i Delegaci, u których zalegają pieniądze z wkładek, lub należytości za pobrane do rozsprzedania książeczki, zechcą co rychlej zaległości te wyrównać. — Wydział dołoży wszelkich starań, aby sprawy Towarzystwa uporządkować, wydawnictwo w regularny tok wprowadzić, a wartość jego podnieść i w ten sposób spełnić patryotyczne zamiary założycieli i tych szerokich kół polskich, które Towarzystwu temu chętnego i ofiarnego udzieliły poparcia. O to poparcie też i na przyszłość upraszamy.

We Lwowie dnia 25 października 1892.

Tadeusz Romanowicz
prezes mp

Dr. Michał Grek wiceprezes mp. — *Tadeusz Dwernicki* sekretarz.

*** „W Przeglądzie Emigracyjnym“ czytamy: „Społeczeństwu naszemu jest prawie nieznanem, że na drugiej półkuli istnieje oryginalna literatura polska, dotąd przeważnie ludowa, która ciągle się rozwija; jest ona wielką cywilizacyjną dźwignią dla tamtejszego społeczeństwa nowo-polskiego. Jaka jest przyszłość tego ruchu literackiego? Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, iż literatura polsko-amerykańska, wyszedłszy z dotychczasowych pieluch dziecinnych, z czasem stanie się znaczną gałęzią ogólno-polskiego piśmiennictwa.

W Ameryce istnieją księgarnie polskie, spółki wydawnicze i drukuje się sporo książek dosyć często oryginalnych; nadto sprowadza się mnóstwo książek polskich z Europy. Poznanie tego ruchu jest niezbędnym warunkiem do wzajemnego poznania się i zawiązania wzajemnych stosunków; dla tego też Redakcya „Przeglądu emigracyjnego“ wierna swemu programowi, postanowiła go zbadać i zapoznać publiczność naszą z nim. W tym celu rozsyłamy kwestyonaryusz. Upraszamy wszystkich, zwłaszcza pp. księgarzy, o podanie nam najdokładniejszych danych w najkrótszym przeciągu czasu. Szczególnie amerykańską publiczność polską i prasę upraszamy o poparcie nas jaknajczynniejsze.

Redakcya ustanowia osobny dział: „Bibliografia polska na wychodźtwie“. Oryginalne utwory będziemy obszerniej omawiali. Upraszamy zatem panów wydawców, by we własnym interesie nadsyłali po jednym egzemplarzu ze swych książek: przez to przyczynią się do rozpowszechnienia się tych utworów, a zarazem do utrwalenia łączności i wzajemności z Macierzą“.

Nekrologia.

† W Pradze zmarł 25 z. m. znany uczony prof. Antoni Gindely. Gindely, urodzony w r. 1829, od r. 1862 nadzwyczajny, od r. 1867

zwyczajny profesor historyi austryackiej w uniwersytecie niemieckim w Pradze, należał do najwięcej zasłużonych badaczy historyi austryackiej. Prace jego odnoszą się głównie do dziejów XVII wieku jak np. „Rudolf II i jego czasy,“ „Historya wojny trzydziestoletniej.“ Jako naczelnik krajowego archiwum, wydał również część dzieła: *Monumenta historiąe bohemica* z lat 1618—1623.

† Robert Franz, najznakomitszy po Schubercie i Schumanie pieśniarz niemiecki, umarł w Halli nad Salą, przeżywszy lat 77.

† W Paryżu zmarł nagle w 72 rokn życia Henryk Lavoix, lektor komedyi francuskiej, konserwator oddziału medalów w bibliotece narodowej i krytyk dramatyczny tygodnika *Illustration.*

† Otton Dessoff, b. kierownik filharmonicznych koncertów w Wiedniu, jeden z najlepszych dyrygentów niemieckich, umarł 20 z. m. w Frankfurcie nad Menem, gdzie był kapelmistrzem opery. Dessoff przeżył 57 lat.

† W Sztutgardzie, umarł w tych dniach, w 52 roku życia, Otto Baisch, redaktor wielce rozpowszechnionego i poczytnego pisma: *Ueber Land und Meer.*

† W Neapolu zmarła Anna Edgren, powieściopisarka szwedzka, jedna z wybitniejszych na półwyspie skandynawskim.

† W dniu 25 z. m. zmarł w Nowej Aleksandryi Paweł Ejmont, b. dyrektor tamtejszego instytutu Gospodarstwa Rolnego i Leśnictwa. Zmarły był wychowańcem konstantynowskiego instytutu geometrów. Służbę rozpoczął jako inspektor instytutu, w którym odebrał wykształcenie. Następnie był mianowany dyrektorem instytutu mierniczego w Pskowie. W r. 1883 został dyrektorem Instytutu w Nowej Aleksandryi. W dniu 13 września b. r. opuścił służbę z powodu choroby.

† Kamil Rousset, historyk, członek Akademii paryskiej, zmarł w stolicy świata.

† Albert Millaud zmarł w Paryżu w 56 roku życia. Stali czytelnicy *Figara* tracą w nim wiernego przyjaciela. Od lat wielu codziennie prawie znajdowało się krótki artykulik Millauda, omawiający w dowcipnej zawsze formie jakąś interesującą kwestyę bieżącą. W ostatnich czasach mania rusofilska dostarczała mu nieustannie materyału do jego wesołych *boutades.* Millaud był autorem wielu fars i humorystycznych kupletów, śpiewanych przez p. Judic.

† Dr. Adolf Soetbeer. W d. 23 z. m. straciły Niemcy znanego całemu światu uczonemu ekonomistę: Adolfa Soetbeera. Zmarły badacz odznaczał się nietylko swemi pracami naukowemi, lecz także nieposzlakowanym charakterem i gorącym patryotyzmem w najlepszem tego słowa znaczeniu. Soetbeer urodził się w 1814 r. Hamburgu. Po ukończeniu studyów filologicznych mianowany został sekretarzem deputacyi handlowej w Hamburgu na skutek znakomitej pracy o cłach. Na tem stanowisku pozostał uczony i wtenczas jeszcze gdy deputacya handlowa przekształciła się w izbę handlową i tutaj miał możność zapoznania się dokładnie ze stosunkami gospodarczemi całych Niemiec. W r. 1872 powołany został na profesora ekonomii politycznej przy uniwersytecie w Getyndze i katedrę tę zajmował aż do końca swego życia. Z pomiędzy licznych dzieł Soetbeera, które mu zapewniły trwałą pamięć w rocznikach wiedzy nadmienić wypada: „Pisma o handlu hamburskim i hamburskich stosunkach monetarnych“. pracę o J. S. Millu i zasadach ekonomii politycznej, przyczynki do historyi pieniędzy i monet w Niemczech i w. i.

† Bernard Józef Windscheid, znakomity profesor pandektów prawa rzymskiego, zmarł w Lipsku w 72 roku życia. Urodzony 26 czerwca 1817 w Düsseldorfie, Windscheid uczęszczał na wydział prawny w Bonn i Berlinie i poświęcił się w zupełności tej dziedzinie nauki, która miała go później postawić w rzędzie najpierwszych i najznakomitszych badaczy i znawców rzymskiego prawa. W r. 1840 habilitowany na prywatnego docenta w uniwersytecie berlińskim, mianowany został tamże w r. 1847 nadzwyczajnym profesorem, a po kilku miesiącach powołany do Bazylei, objął na wszechnicy tamtejszej zwyczajną katedrę prawa. Szczyciły się nim później uniwersytety w Gryfil, Monachium i Heidelbergu, a od roku 1874 do dziś dnia Lipsk. Głównem dziełem Windscheida jest: „*Lehrbuch des Pandektenrechtes*“ w trzech tomach, kilkakrotnie wydane. Pozostawił nadto długi szereg mniejszych i większych rozpraw i monografij, niezwykle cenionych w prawniczym świecie.

† Profesor Jerzy Bleibtreu, znany malarz bitew zmarł w Charlottenburgu w 65 roku życia. Jerzy Bleibtreu roden z Xanten w prowincyach nadreńskich, pierwsze artystyczne wykształcenie otrzymał w Düsseldorfie, wkrótce jednak przeniósł się do Berlina, gdzie niezadługo stał się znanym i pozyskał względy monarchów. Z pod jego pendzla wyszło mnóstwo obrazów, przedstawiających epizody wojenne z pierwszej wojny niemiecko-duńskiej, pochody wojenne z 1864, 1866 i 1870 r. Wiele z nich zdobi galeryę narodową berlińską. Kar. Bleibtreu, literat jest jedynym synem zmarłego artysty.

† Dnia 11 z. m. zmarł w Paryżu po krótkiej chorobie X. Marmier, członek akademii francuskiej, niezmordowany podróżnik, autor licznych poezyj, wielu powieści obyczajowych i opisów podróży. Zmarły należał do najzaciętszych przeciwników Zoli.

† W Paryżu zmarł w bardzo późnym wieku malarz, Signol, przed jakiemi 50-ciu laty cieszący się powodzeniem, jako twórca obrazów o poetyczno-romantycznej treści. Najlepszy może obraz Signola: „Jawno-grzesznica“, wisi w galeryi luksemburskiej. Zmarły był pewien czas dyrektorem szkoły francuskiej w Rzymie, następnie został mianowany członkiem instytutu. Posiadał kilka medali i był oficerem legii honorowej.

SZACHY.*)

Znakomity szachista rosyjski Petroff, dowcipnie przedstawił ucieczkę Napoleona I., ściganego przez kozaków, z pod Berezyny w r. 1812.

Białe: K h 2, D h 1, L g 6, S e 2, S f 1, c 2, c 5, d 4 (8).

Czarne: K b 1, T f 4, T f 6, L e 3, S a 5, S d 8, a 4, b 2, c 4, c 7, e 6, f 2, g 4. g 7 (14).

*) Wprowadzamy nową rubrykę pn: **Szachy,** w której pomieszczać będziemy tak zagadki szachowe, jak i całe partye. Nie wątpimy, że szerokie koła amatorów — szachistów żywo zainteresują się naszym działem i poprą nas swem współpracownictwem. (*Przyp. red.)*

Białe zaczynają i dają w 14 cugu mata.

Partya szachowa.

Gambit Ewansa.

Białe: B..... Czarne: R.....

1. e 2 — e 4 1. e 7 — e 5
2. S g 1 — f 3 2. S b 8 — c 6
3. L f 1 — c 4 3. L f 8 — c 5
4. b 2 — b 4 4. L c 5 : b 4
5. c 2 — c 3 5. L b 4 — c 5
6. O — O 6. d 7 — d 6
7. d 2 — d 4 7. e 5 : d 4
8. c 3 : d 4 8. L c 5 — b 6
9. L c 1 — a 3 [nowe posunięcie] 9. S g 8 — f 6 [? słabo]
10. e 4 — e 5 [rozstrzygające] 10. d 6 : e 5 [gdyby d 6 — d 5, 11. e : f 11. d : c 12. F e 1 + 12. L — 1 6 13. d 4 i wygrywa]
11. D d 1 — b 3 11. L c 8 — e 6 [gdyby S e 7 to 12. L : f 7 +. K — f 8 13. d : e z następ. T — d 1 i wygrywa]
12. L c 4 : e 6 12. f 7 : e 6
13. D b 3 : e 6 + 13. S c 6 — e 7
14. S f 3 : e 5 14. T h 8 — f 8
15. S b 1 — c 3 (!) 15. c 7 — c 6 [broniąc d 5]
16. T f 1 — e 1 (!) 16. S f 6 — g 8 [każdy inny cug grozi utratą figury lub jakości]
17. S c 3 — e 4 (!) 17. L b 6 — c 7 [groziło S — d 6 z wygrana partja]
18. T a 1 — d 1 (!) 18. a 7 — 6 a [żadne inne posunięcie uratować już partyi nie może]
19. d 4 — d 5! [cios ostateczny] czarne poddają się.

Jako premię, która przyznaną będzie drogą rozlosowania nadesłanych rozwiązań — przeznaczamy tym razem broszurę pt. „Kazimierz Bartoszewicz, jako Jubilat“.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Wł. K. we Lw. Czytaliśmy. Na replikę, jak słusznie Sz. P. powiada: „gwałtowną“ „Kwartalnika historycznego“ przyrzekł nam autor „inkryminowanej“ krytyki nadesłać odpowiedź, którą zamieścimy w przyszłym numerze naszego pisma. Dlatego redakcya „Myśli“ postanowiła nie zabierać na razie głosu w tej sprawie i pozostawia zupełną swobodę Sz. Autorowi, który rozprawi się z namiętnym „Kwartalnikiem“ i duchowo snać z nim spokrewnioną „Gazetą Narodową“.

P. Natalji F. w St. Szkoda, iż zdania Sz. Pani podzielić nie możemy. „Wędrówka“ jest bardzo słaba i powędrować może tylko... do kosza. „Harzreize“ Heinego bez talentu naśladować trudno.

P. St. Ż. w Kr. Informacyj najdokładniejszych udzieli dyrekcya teatru.

P. Fr. Tar. w B. Rymy, daruje Sz. Pan, częstochowskie. Numer do Krosna wysłany.

Treść Numeru:

Z drukarni A. Słomskiego i Spółki w Krakowie. Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Józef Bornsztein.**